Nr. 27. Poznań, Niedziela 7. lipca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„**Przegląd Poznański**“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Przesilenie ekonomiczne w rolnictwie i wniosek hr. Kanitza. II. p. I. B. M.
Polityka: Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego p. -ski. — Przegląd prasy słowiańskiej p. D. K.
Literatura i sztuka: Jak śpiewać? (wiersz) przez M. Konopnicką. — Böcklin III p. Olla Hansona. — Balladyna w Paryżu. — Egotyzm p. D. Królikowskiego. — W setną rocznicę trzeciego rozbioru Polski p. H. S.
Szkoła i wychowanie. Dyscyplina w pruskich szkołach p. I. Moszczeńską.
Życie społeczne: Władysław Jażdżewski. (Wspomnienie pośmiertne.) — Władysław Matlakowski. (Wspomnienie pośmiertne.) — Kronika galicyjska p. K. Bartoszewicza. — Protest akademików Polaków w Wrocławiu p. Alastora.
Feljeton: Na Wyłomie, przez Sullę.
Kronika literacka.
Kronika powszechna.
Bibliografia.
Składki.
Sprostowanie.
Odcinek: Engelke p. Svena Langego. (Ciąg dalszy.) — Na rzeź skazany p. Piotra Lotiego.

Z przyczyn niezależnych od redakcyi dokończenie artykułów pt. „Z najnowszych dziejów Szląska“ ukaże się dopiero w następnym numerze.

Przesilenie ekonomiczne w rolnictwie i wniosek hr. Kanitza.

II.

Wniosek Kanitza nie jest według słów wnioskodawców ostatnim środkiem, ale środkiem radykalnym, warto więc nad nim się zastanowić, bez względu na to, czy są dlań widoki urzeczywistnienia. Jednakże zanim go rozpatrzymy, warto zatrzymać się na innych środkach, polecanych dotąd jako zbawcze.

Najpierw mamy tu krzykliwą agitacyę bimetalistów. Twierdzą oni, że przyczyną klęski rolników europejskich jest dewalwacya srebra. Rzecz ma się tak: W początku, a nawet jeszcze w połowie wieku bieżącego stosunek wartości złota do srebra był 15 i pół : 1, to jest za 1 funt złota płacono 15 i pół funtów srebra. Dziś stosunek ten przedstawia się jak 32 : 1, to jest za 1 funt złota trzeba dać 32 funtów srebra. Otóż w krajach, gdzie system monetarny opiera się na srebrze, płaci się koszta produkcyi w tym metalu, a wywożąc produkt do kraju, gdzie pieniądzem jest złoto, pobiera się cenę w złocie. Zyskuje się więc całą zwyżkę wartości złota. N. p. ktoś przywozi pszenicę z Indyi do Europy, tu otrzymuje za quarter w Londynie — przypuśćmy — 15 szylingów w złocie. Złoto sprzedaje i kupuje srebro. Przy dawnym stosunku złota do srebra otrzymałby 7 i pół rupii indyjskich, dziś otrzymuje 10 do 12, przypuśćmy, może więc produkować za 15 szylingów, gdy farmer angielski nie może. Otóż twierdzą bimetaliści: podnieśmy cenę srebra, a pozbędziemy się tej konkurencyi. Podnieść zaś cenę srebra można tylko przez to, że mennice będą przyjmowały srebro po cenie ustanowionej, n. p. 20 funtów srebra za funt złota. Rozumowanie jest słuszne, tylko że tego stosunku ustanowić nie można. Cena srebra bowiem spadła nie dla tego, że zostało ono wycofane z obiegu monetarnego, przedstawiając już tylko monetę zdawkową, t. j. monetę, w istocie nie reprezentującą nominalnej wartości i dla tego nie obowiązkowo przyjmowaną przy większych wypłatach, lub „coruantową“, (jak pięciofrankówki związku monetarnego łacińskiego i talary niemieckie), która ma obieg przymusowy wewnątrz kraju według wartości nominalnej, jakkolwiek rzeczywista wartość równa się dziś zaledwie połowie nominalnej (2,50 franków i 1,45 marek), nie ma zaś obiegu poza krajem, lecz dla tego, że koszta produkcyi srebra zmniejszyły się, a produkcya wzrosła do niebywałych rozmiarów. Ta obfitość srebra na rynku jest skutkiem wydajności nadzwyczajnej min amerykańskich, które zdaniem profesora Lexis, „praktycznie biorąc, są niewyczerpalne“. I tu więc hojność przyrody jest nieszczęściem dla starej Europy. Gdyby więc dziś chciano ustanowić system monetarny bimetaliczny, skutek byłby ten, że rynkowa wartość srebra w złocie zmieniałaby się z dnia na dzień, mennica zaś byłaby zmuszoną przyjmować srebro w cenie ustanowionej, zacząłby się zatem spekulacya, polegająca na tem, że srebro napływałoby do mennicy i jego posiadacze zyskiwaliby całą różnicę pomiędzy ceną rynkową a ceną menniczą. To samo uniemożliwia już system bimetalizmu i z tych właśnie powodów Francya porzuciła przed laty ten system. Zresztą wprowadzenie bimetalizmu wymaga międzynarodowego porozumienia, a do takiego, teraz przynajmniej, nie dojdzie, gdyż wchodzą tu w grę interesa żywotne poszczególnych państw. Amerykanie n. p. chętnie zgodziliby się na bimetalizm, bo produkowane przez nich srebro wzrośnie w cenie, ale właśnie dla tego nie zgodzi się na to Anglia, gdyż wtedy rynek metalowy przeniósłby się z Londynu do Ameryki, a tem samem supremacya handlowa Anglii byłaby narażona na szwank. Pomimo więc zwycięstwa, odniesionego przez bimetalistów w sejmie pruskim (gdzie przyjęto niedawno wniosek o zwołanie międzynarodowego kongresu celem wprowadzenia bimetalizmu) sądzimy, że porozumienie takie do skutku nie dojdzie i kongres, gdyby nawet zdołano go zwołać, rozejdzie się z niczem, jak to się stało już z trzema poprzedniemi, zwoływanemi w tej kwestyi. Gdyby nawet zresztą projekt bimetalistów został urzeczywistniony, to przez to jeszcze nie zmniejszy się ilość produkowanej pszenicy ani o jeden korzec, zmniejszą się tylko nieco zyski farmerów pozaeuropejskich i wzrosną być może cokolwiek ceny. O takiej podwyżce, o jakiej marzy hrabia Kanitz, mowy nawet być nie może.

Inni znów widzą przyczynę nieszczęścia rolników niemieckich w braku kapitału. Twierdzenie to nie jest pozbawione słuszności, lecz zapobiedz temu brakowi niełatwo. Po większej części brak kapitału u wielkich posiadaczy pochodzi ztąd, że cena, po jakiej zostały nabyte majątki przez obecnych właścicieli, była ogólnie zbyt wysoką. Ceny, płacone za ziemię przed 20 i 30 laty, były, jak zawsze, oparte na ówczesnej rencie, renta zaś ta była wysoka wobec wysokich cen zboża. Ceny spadły, renta obniżyła się i majątki okazały sie obdłużone po nad dzisiejszą ich wartość, nie przedstawiają więc dziś gwarancyi dla kredytu hipotecznego, który jest podwaliną kredytu rolniczego wogóle. Stąd aż nadto zrozumiała niechęć do lokowania kapitałów w ziemi. Wołają więc agrarczycy o pomoc państwową, co jest bardzo zrozumiałe, kwestya tylko, skąd państwo weźmie potrzebne na to setki milionów? Z pożyczki państwowej lub podatków? Odsetki pożyczki trzeba zapłacić w każdym razie, jak również niedobory, powstające wskutek niewypłacalności dłużników. Pozostają tedy podatki, czyli wszystkie tego rodzaju projekty dążą do tego, aby naród cały ponosił ciężary dla uratowania garstki uprzywilejowanych. Z wszystkich projektów tego rodzaju streszczamy tu projekt podany przez profesora Schmollera (w rozprawie krytykującej projekt hr. Kanitza, umieszczonej w „Jahrbuch für Gesetzgebung, Verwaltung und Volkswirtschaft, rocznik XIX, zeszyt II). Uczony ten dochodzi do takiego wniosku: istnieje ekonomiczny stan klęski (Notstand) w rolnictwie. Zapobiedz może tylko pożyczka (Notstandsdarlehn). Plan swój szkicuje Schmoller tak: „Państwo zakupuje majątki ziemskie tych posiadaczy, których byt jest zagrożony, i obsadza je ponownie właścicielami lub dzierżawcami przy takich warunkach prawnych, jakie odpowiadają interesom ogółu i przy jakich ci właściciele lub dzierżawcy mogą prosperować ekonomicznie. To, co dokłada w ten sposób państwo, jest ofiarą, którą ogół poniesć może i powinien i która w przyszłości hojnie się opłaci“. Tym zaś właścicielom, których można ratować pożyczką, należy udzielić takowej w warunkach dogodnych. Środki te ma stosować nie cesarstwo, lecz państwa rzeszy. Sumę niezbędną w tym celu przyjmuje Schmoller na 1000 milionów marek, z których 200 milionów zostanie użyte na pożyczki, 800 milionów na zakupy. Odsetki od tej sumy wyniosą, licząc po 3 proc., 30 milionów marek i zaważą w budżecie stopniowo, w miarę jak pieniądze staną się potrzebne; dodawszy jeden proc. na amortyzacyę, otrzymamy 40 milionów marek. Schmoller sądzi, że już przez samo postanowienie odnośnego prawa anormalna zniżka cen ziemi

zostanie wstrzymana, jak również wierzyciele hipoteczni, spokojni o przyszłość, przestaną wycofywać sumy hipoteczne. Wygórowanej podwyżce cen zapobiedz można przez umiejętne normowanie zakupów. Za 800 milionów marek, jak sądzi Schmoller, można zakupić milion hektarów (po cenie 800 marek, jaką przyjmuje hr. Kanitz w swoich obliczeniach), to jest jedna trzydziesta piąta część Prus. W ten sposób, powiada uczony, można uratować rolnictwo. A jako prawowity Prusak dodaje, że to zapobiegnie „der Slavisirung des deutschen Ostens“.

Więc 40 milionów marek zapłaci ogół, t. j. o taką sumę wzrośnie ciężar podatkowy w Niemczech. Skutki zaś są wątpliwe: 1) wobec większej pewności, jaką przedstawia państwo, wierzyciele hipoteczni, wbrew oczekiwaniu Schmollera, mogą wycofywać gwałtownie swoje sumy i w takim razie liczba właścicieli, których trzeba ratować, wzrośnie tak, że 1000 milionów nie starczy. 2) Wątpliwem jest, czy środek taki wstrzyma zniżkę cen ziemi, bo ta będzie zależała od ceny ziemiopłodów na rynku wszechświatowym, jeżeli zaś to nastąpi, kapitały ulokowane przez państwo w ziemi przepadną.

Inaczej przedstawia się projekt p. Gampa, który domaga się budowy, kosztem państwa, wielkich młynów we wschodniej części monarchii. Zakupywałyby one w tych prowincyach zboże, które pozostaje po pokryciu potrzeb lokalnych i sprzedawałyby zmeloną mąkę poza granicami państwa. Zboże ma być płacone producentom po cenie, na jaką pozwala sprzedaż produktów młyńskich, po potrąceniu kosztów mlenia i 3 proc. od kapitału zakładowego. Pan Gamp proponuje założenie tymczasowo 8—10 młynów, z których każdy mełby 15,000 ton zboża rocznie. Sądzi on, że wskutek oszczędności przy transporcie i wskutek wyzyskania wszystkich korzyści, jakie płyną z wielkiej produkcyi, młyny te będą w stanie płacić na tonie 15 marek więcej, aniżeli wynosi cena rynkowa, wskutek tego, jak sądzi wnioskodawca, podniesie się wogóle cena zboża w tych prowincyach. Ostatni wniosek jest zgoła fałszywy, bo cóż znaczą te 150,000 ton dla produkcyi niemieckiej, a nawet tylko dla produkcyi wschodnich prowincyi. W każdym razie musiałby upaść przemysł młynarski w tych okolicach, gdzie zakładanoby młyny państwowe. I młynarze prywatni mieliby zupełnie uzasadnione prawo, aby straty ich wynagrodzono przez zakupienie ich zakładów lub w inny sposób, a ta okoliczność znacznie podnosi koszta całej tej operacyi.

Na innych jeszcze zasadach opiera się wniosek pana Grass-Klanin, agitowany żywo w od roku 1891 w stowarzyszeniach rolniczych. Chodzi tu o zakładanie przy pomocy stowarzyszeń wielkich śpichlerzy, któreby lombardowały zboże. W ten sposób, twierdzi wnioskodawca, zapobiegnie się fatalnej dla rolnika, nie posiadającego kapitału zakładowego, konieczności sprzedawania zboża natychmiast po żniwach. Prócz tego zyski, jakie zgarnia kupiec zbożowy, wpłynęłyby do kieszeni rolników. Projekt ten bezsprzecznie posiada tę zaletę, że nie ucieka się do pomocy państwowej w wielkich rozmiarach (jakkolwiek w ciągu dyskusyi nad nim okazało się jednakże, że bez pomocy państwa zebrać kapitały potrzebne byłoby bardzo trudno). Natomiast urzeczywistnieniu jego staje na przeszkodzie fakt, że handel zbożowy więcej niż każdy inny stał się dziś przedmiotem dzikiej spekulacyi, do interesów zaś spekulacyjnych stowarzyszenia niekupieckie najmniej się nadają. Z tych też powodów jedyna próba w szerszym zakresie, podjęta w tym kierunku przez „Centralne stowarzyszenie rolnicze“ na Szląsku, zakończyła się krachem w roku przeszłym, i sprawozdawca Stowarzyszenia, hr. Zedlitz, przyznał, że przedsięwzięcie było błędem organizacyjnym.

Wspomnijmy jeszcze dążenia popierania rolnictwa przez protegowanie gorzelnictwa i cukrownictwa. Jest to sprawa tak zawiła, że wymagałaby specyalnego omówienia. Tu możemy ją pominąć, choćby dla tego, że sami agrarczycy uważają tę kwestyę za podrzędną w porównaniu z kwestyą ceny zboża. Zadokumentowali to ich przedstawiciele w sejmie pruskim podczas cytowanej mowy pana ministra rolnictwa, przerywając mu, kiedy mówił o cukrownictwie i gorzelnictwie, krzykami: „zboże, zboże“. W każdym razie nie zawadzi zaznaczyć, że owa opieka, jaką oddawna rząd niemiecki otacza gorzałkę i cukier, a którą powodowały w części względy fiskalne, po części zaś doniosłość tych gałęzi przemysłu wiejskiego dla intensywnego gospodarstwa rolnego, doprowadziła do wcale niepożądanych rezultatów. Przytoczę tu jeden tylko charakterystyczny przykład. Prawem z dnia 14 czerwca 1887 r. postanowiono unormować wyrób okowity dla krajowego rynku, to jest postanowiono, że każda gorzelnia ma prawo produkować tylko pewną ilość obliczaną według norm ustanowionych. Okazało się, że normy są dosyć wysokie, gorzelnie jednakże chcą je koniecznie zachować i produkują zawsze tyle, ile im dozwolono, chociażby to nie było korzystnem, obawiają się bowiem, że w razie przeciwnym kontyngens ich zostanie zniżonym. Otóż w roku n. p. przeszłym urodzaj ziemniaków nie był obfitym, ceny więc były względnie wysokie, można więc było zużyć lepiej ziemniaków, a pomimo to pędzono dalej okowitę nawet ze stratą, chociaż odbyt był utrudniony i ceny niskie. To samo można powiedzieć o przemyśle cukrowniczym, w którym premie wywozowe, wotowane na wyścigi w parlamencie niemieckim, stworzyły położenie sztuczne.

I. B. M.



Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego.

N o w e p i s m o. Od połowy lipca zacznie wychodzić w Berlinie popularne pismo miesięczne p. t. „Przewodnik zdrowia“, poświęcone sprawom hygieny, a mianowicie fizycznego wychowania dzieci. Wydawnictwa podjął się pan A. Czarnowski.

—

Według „D z i e n n i k a K u j a w s k i e g o“ zacznie znowu wychodzić w Inowrocławiu demokratyczne pismo „P o c h o d n i a“, którego wydawnictwo na pewien czas zawieszono.

—

„G a z e t a O l s z t y ń s k a“ powiększa od 1-go lipca począwszy swój format, lecz zatrzymuje ten sam abonament co dotychczas, t. j. 75 fen. na kwartał.

—

„N o w i n y R a c i b o r s k i e“ donoszą w nr. 79:

„W przeszłym tygodniu zjawiła się na czarnej tablicy w akademii wrocławskiej za pozwoleniem rektora odezwa odnosząca się do wszystkich akademików, w której wzywano do współudziału w utworzeniu związku KHT (dla szerzenia niemczyzny i wypierania polskości) pomiędzy młodzieżą akademicką. Ogólne zebranie było zapowiedziane na sobotę dnia 29 b. m. w salce siódmej. Z przeszło 1200 studentów zapisanych na tutejszym uniwersytecie stawiło się ledwie 50-ciu. Tajny radzca prof Feliks Dahn rozpoczął posiedzenie dosyć krótką mową, w której takiemi ogólnikami sypał, że nie warto ich tu powtarzać. Skończywszy swoją mowę, zabiera kapelusz i opuszcza salę. Następnie przewodniczący zebrania w kilku słowach rozwodzi się nad warunkami, które każdy do towarzystwa HKT należący wypełniać winien, i zapytuje się, kto sobie życzy zabrać głos.

Tu powstaje akademik Polak, prosi o głos i doniosłym i dobitnym głosem czyta w imieniu wszystkich akademików polskiej narodowości, kształcących się na wszechnicy wrocławskiej, protest przeciw towarzystwu HKT. Była to chwila uroczysta; nikt nie ważył się jej przerwać; wśród ciszy grobowej rozlegał się tylko energiczny głos czytającego. Po odczytaniu protestu

---

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

— Tak, kocham cię, moja mała, — po chwili zaś dodał patetycznie: — jak prawdziwą słońca jasność, blaski gwiazd na niebie — tak szczerą i niezmienną miłość ma dla ciebie! Zadowolonaś teraz? — dodał z uśmiechem.

— Tak, ale czy rzeczywiście to czujesz? tak naprawdę? zawsze? — rzekła patrząc mu w oczy z niepokojem.

— Ależ tak, najdroższa! Jakże przekonać cię o tem mogę? słowa mówią tak mało; wszystkie zapewnienia miłości takie są romantyczne. Kocham cię więcej stokroć, niż to powiedzieć mogę...

Po chwili odezwała się znowu, opierając czoło swe w zawstydzeniu o jego ramię:

— Wiesz, Jerzy, o czem często myślę? Czuję dobrze, że nie dorosłam tobie, ani rozumem, ani wykształceniem i długo jeszcze potrwa, zanim ci dorównam. Musisz więc być cierpliwym, choć to nie tak prędko nastąpi. Wszak i ci, co idą powoli, do celu dochodzą. Gdybym mogła czegoś wielkiego dokonać, ach jakbym chciała! nie wiem, coby to takiego być mogło, nie mam pojęcia... chciałabym, żeby było czemś, czego nie wszyscy dokazaćby mogli... Najchętniej coś takiego, czego jeszcze dotąd nie było...

Spojrzenie jego przesunęło się po jej twarzy, błysnęło, zaśmiało się; chciał coś powiedzieć, lecz powstrzymał się, a całując ją z powagą w rękę, rzekł:

— Rozumiem cię dobrze. Któż nie pragnąłby w ogóle zdziałać coś na nędznym tym świecie...

— Ależ, nie o to mi chodzi — zawołała.

— A więc, co przez to rozumiesz?

— Nie zrozumiałeś mię zupełnie; jest mi całkiem obojętne, jak świat cały wygląda, cóż mnie to obchodzi? lecz — ciągnęła dalej, nie dając sobie przerwać — to tylko dla ciebie chciałabym czegoś wielkiego dokonać, żeby stać się ciebie godną, rozumiesz? Chcę, żebyś również mógł być ze mnie dumnym, byś kochał mnie stale i nie porzucił w połowie drogi... Czy wiesz, co myślę? Ja taka głupia, że nie mogę tak wszystkiego wypowiedzieć, co mam w myśli... Ale musisz mi przyrzec, że się nie znudzisz czekaniem. Zobaczysz, że cię nie zawiodę... czuję to...

— Jak wymowną nagle stała się moja mała, ktoby to przypuszczał! — rzekł Bergström, uścisnąwszy ją czule.

— Możesz być o to spokojną, moje dziecię, kto znalazł taką jak ty perłę, nie odda jej za żadne świata skarby! Czeka nas w życiu wiele chwil pięknych, wierz mi Engelko! Życie nasze będzie czułem, serdecznem pożyciem dwojga ludzi, którzy wspólnie wspierając się wzajemnie, dążyć będą do coraz wyższego udoskonalenia uczuć swych i myśli. Ja ciebie prowadzić będę, jak potrafię — ty zaś opanujesz mą fantazyę — i tak oddziaływając na się wzajem, po jednej drodze do wspólnego dążyć będziemy celu... wierz mi...

Tu przerwał. Słychać było szybkie kroki w przedpokoju. Engelke zerwała się z miejsca.

— To ojciec! — rzekła.

— I dla tego uciekasz?! — śmiał się Bergström, pociągając ją napowrót ku sobie, choć się lekko opierała. — Dzisiaj moglibyśmy trochę więcej z sobą pogawędzić, nieprawdaż? — rzekł, podnosząc zwolna jej twarz ku sobie. A cóż otrzymam teraz?

Zbliżyła powoli różowe swe usta do ust jego, oczy jej mgłą zaszły z niewysłowionej tkliwości, jaka ją opanowała, i tak spotkały się ich usta w długim cichym pocałunku. Wtem drzwi się otworzyły, jednocześnie ukazała się w nich mała postać Dr. Pauli.

— Siedzicie sobie i gruchacie — rzekł tonem obojętnym, przechodząc koło nich i zbl-

wręcza ów polski akademik przewodniczącemu protest podpisany przez 54 akademików Polaków i opuszcza salę zgromadzenia z dwoma swymi kolegami, którzy za delegatów byli wybrani Protest brzmi w przekładzie na język polski:

„Jesteśmy najzupełniej świadomi obowiązków, jakie w charakterze poddanych pruskiego państwa mamy, a staraniem naszem jak najusilniejszem jest, aby im zadosyćuczynić. Twierdzimy śmiało, że z współakademikami niemieckiej narodowości zawsze w spokoju i w zgodzie żyliśmy i nigdy nie daliśmy powodu do sporów i do niezgody. Ponieważ atoli związek, który ma być założony, nietylko pod względem politycznym, ale także ekonomicznym zamierza szkodzić żywiołowi polskiemu i może podkopać dotychczasowe zgodne stosunki studentów obu narodowości, którzy są skazani na wspólne pożycie, ponieważ dalej mamy przekonanie, że nauka stać winna ponad wszelkiemi prądami politycznemi doby i sporami narodowościowemi, — przeto uważamy za nasz obowiązek, aby w interesie zgodnego pożycia akademików obu narodowości i w interesie wolnego rozwoju nauki założyć protest przeciwko założeniu tegoż towarzystwa.

Następują podpisy“.

—

Wychodząca w Berlinie „Gazeta Polska“ (nr. 48) tak pisze p. t. „Przemysł polski a spółka KHT.“:

„Co do popierania naszego przemysłu przez kupowanie tylko u swoich wypowiedzieliśmy już zdanie, że popieranie takie zależne przedewszystkiem od doskonałości przemysłu naszego, że zatem, chcąc w tych dziedzinach, gdzie dotąd niedość poparcia znajduje nasz przemysł u rodaków, wyjednać dlań to poparcie, należy się zająć wprzódy tą gałęzią przemysłu i pracować nad udoskonaleniem jej, a potem dopiero żądać można od Polaków bezwzględnego poparcia przemysłowców — rodaków.

Samo nawoływanie do popierania przemysłowców polskich nawet i w tych razach, gdy przemysłowcy ci niezdolni rodaków zadowolić, zdaje nam się wprost fałszywym patryotyzmem: należałoby raczej przemysłowca, który w swym zawodzie niedoskonały, skłonić — o ileby się to dało — do zajęcia się korzystniejszą dla niego i dla społeczeństwa pracą, albo dać mu możność douczenia się tego, czego mu niedostaje. Byłoby to zapewne patryotyczniejszem.

Przyzna nam zapewne każdy słuszność, kto zna stosunki po wielu małych miastach u nas — a któżby ich nie znał — kto wie, jak mało umieją nieraz kupcy Polacy współzawodniczyć z niemieckimi żydami, starającymi się publiczności dać wielki wybór towarów, uwzględniać — choćby to tylko czynili pozornie — najdrobniejsze życzenia odbiorców i t. d., podczas gdy kupcy Polacy nieraz po małych miastach niewielkim służąc doborem, nie umieją nadto większą od Niemców usłużnością zaskarbić sobie względów publiczności. Oczywiście, że nie jest już tak źle, jak było przed 20 albo 10 laty, ale dużo jeszcze w tym względzie trzeba nam naprawić, by dorównać Niemcom.

Że lud nasz kupuje jeszcze zbyt wiele od Niemców, to smutną rzeczą, ale poprawa stosunków zależy przedewszystkiem od usunięcia złego w przemyśle samym.

Podobnie, jak samem nawoływaniem nie zdołaliśmy wstrzymać ludzi od wychodźtwa za morze, i nie wstrzymamy, dopóki stosunki, które go wypędzają, nie zmienią się na lepsze, podobnie samem wołaniem: „kupujcie u swoich“ nie napędzimy go do zaspakajania wszystkich swych potrzeb u rodaków, dopóki ci rodacy nie zdołają jego życzeń choć w przybliżeniu tak zadowolić, jak obcy“.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Tryesteński „Il Pensiero Slavo“ pisze:

„Rzeczą wagi niemałej jest dla nas Słowian ruch antysłowiański, który pojawia się obecnie w Rosyi. Nasi czytelnicy wiedzą, że następstwem tej niewdzięczności (!), którą okazują Rosyi koła urzędowe w Sredcu i Białogrodzie, jest stanowisko niechętne, jakie część prasy rosyjskiej wogóle wobec Słowian zajmuje. Prąd ten jest wrogim wszelakiemu zbliżeniu się do Słowian, potępia on ideę solidarności słowiańskiej wobec Słowian zamieszkujących Rosyę tj. Polaków, jako też i wszystkich innych narodów słowiańskich. Że ruch ten nie jest usprawiedliwiony, że powstaje z nieporozumienia, które miesza pojęcie rządów bułgarskich i serbskich z narodem — jest dość jasne.

„W każdym atoli razie trzeba nam się z faktem liczyć, gdyż ruch ten istnieje, a profesor Łamański był w roku zeszłym jego tłomaczem, mówiąc na ten temat na posiedzeniu towarzystwa słowiańskiego dobroczynności. Atoli mowa p. Łamańskiego nie wszędzie wywarła wrażenie dobre w Rosyi samej, natomiast cała Słowiańszczyzna ją jednogłośnie potępiła. Przewodniczący towarzystwa Ignatyew, jak wiadomo, na posiedzeniu ostatniem, które się w kwietniu r. b. odbyło, wyraził ubolewanie, że w Słowiańszczyźnie, skutkiem owego wystąpienia, powstało mniemanie, jakoby Rosya przestała myśleć o Słowiańszczyźnie, że kwestya słowiańska znikła u Rosyan na zawsze z porządku dziennego.

„W tym samym duchu, co Ignatyew, przemawiał Komarow. Przemówienie tego ostatniego powtórzyły pisma czeskie i chorwackie. „Narodni Listy“ wywody rosyjskiego publicysty tak zreasumowały: „„Komarow chce, ażeby ludy słowiańskie szukały punktu oparcia i solidarności moralnej w Rosyi, jedynym węzłem powinno być nieograniczone zaufanie Słowian do tego, co Rosya robi (?!).““

„Co do nas, to w kierunku tym pracujemy, ażeby zaufanie do słowiańskości Rosyi nie znikło. Idea solidarności słowiańskiej czyni acz zwolna, to przecież ciągłe postępy. Jako fakt nader pożądany notujemy, iż w Sredcu przyjmowano bardzo serdecznie towarzystwo śpiewackie serbskie, które z Białogrodu przybyło.

„Kwestya macedońska zbliża również ku sobie Słowian południowych. Wobec wroga wspólnego, jakim są Turcy, łączą się ze sobą Serbowie i Bułgarzy, kraj ten zamieszkujący.

„Wypadki, które zaszły w ostatnim czasie w Wiedniu, zdają się także przemawiać za tem, że pomiędzy Słowianami austryackimi nastąpi większe aniżeli dotychczas zbliżenie...“

* *
*

Lwowski „Hałyczanin“ umieścił artykuł rzekomego Wielkopolanina o stosunkach rusko-polskich. Pod nagłówkiem: „Hołos wełykopoljanina“ czytamy:

„Przyjmijcie ruscy bracia od brata lechitywielkopolanina wyraz miłości braterskiej, sympatyi i wzajemności słowiańskiej. Podzieleie się nim z waszymi czytelnikami i rodakami, gdyż dość już walk, sporów i nienawiści osłabiających i oddających nas pod jarzmo „„Drang nach Osten““, pangermanizmu, żydowszczyzny i egoizmu naszych przeciwników.

„Głosy galicyjsko-polskich dzienników o ruskiej narodowości Galicyi i polityka koła polskiego wobec Rusinów napełniają bólem każdego Słowianina, a tym większym Wielkopolanina, jęczącego pod jarzmem pangermanizmu. Zachowanie się galicyjsko-polskich polityków wobec tak zwanych Rusinów w Galicyi charakteryzuje się tem dosadniej, gdy uprzytomnimy sobie zachowanie się Niemców na naszej wystawie. Tu na własnej rodzinnej ziemi, w kolebce narodu polskiego doznał język polski poniżenia i pogwałcenia. Wszyscy to powinni odczuwać... Kto atoli temu winien? Nie naród polski, bo on nie bierze udziału w polityce „„kół polskich““ w Berlinie i w Wiedniu, które wydają Wielkopolan na łup Niemcom, stwarzają stosunki krzywdzące naród ruski w Galicyi i czynią wszystko, co zabija żywot narodowy i myśl słowiańską, robiąc je nieudolnemi do walki z niemczyzną.

„Nie polski naród temu winien, że gazety galicyjskie obwiniają „„Hałyczanina““, iż bierze ruble, że jest moskalofilem, denuncyując lud małoruski, który nie chce być ich narzędziem powolnym.

„Ta polityka, zarażona łacinizmem, od kilku stuleci niszczy Słowian zachodnich i oddaje ich na pastwę germańsko-romańskiej kulturze. „„Hałyczanin““ nie może popierać takiej polityki...

„Polscy politycy w Galicyi mówią o sobie, iż są rzymsko-katolickimi chrześcianami, ale nie okazują tego czynami, ignorując pierwszą zasadę: nie czyń drugiemu tego, co tobie niemiło. Tą zasadą nie kierują się ani wobec Rusinów, ani wobec chłopa polskiego. Taka polityka

---

żył się do fortepianu, gdzie jakieś papiery i kilka listów leżało.

— Możeś zazdrosny, ojcze? — zapytał żartem Bergström.

Pauli nic nie odpowiedział. Po przeczytaniu listów zaczął zwyczajem swoim przebiegać pokój. Był dzisiaj w niezwykle złym humorze. Brwi miał ściągnięte, a cały wyraz twarzy świadczył o rozdrażnieniu. Nagle przystanął przed Bergströmem.

— Wiesz, Nörgaard stawia swą kandydaturę przy wyborach do parlamentu! — rzekł.

— Czy być może! — zawołał Bergström zatrzymując nagle fotel bujający. Teraz Engelke przeszła na drugą stronę stołu.

— To fakt, mój drogi!

— A gdzież stara się o mandat?

— W jakimś małym zakątku Jutlandyi, — nie wiem doprawdy, jak się ta miejscowość nazywa. Oto otrzymuje teraz nagrodę za wielkie swoje zasługi, — do większego okręgu jest stanowczo za głupim.

— To się rozumie. Ale czy będzie wybranym?

— Przypuszczam, że tak; przeciwko Nörgaardowi i bogowie bezskutecznie walczą, cóż dopiero biedni i śmiertelni ludzie. Pomijając jednak to, ma on zapewniony mandat, bo wskutek rozdwojenia obecnego w lewicy zyskała tym razem prawica w okręgu tym pewną przewagę. Przecież wszędzie teraz tak stoją rzeczy; liberał — to teraz smutne tylko pojęcie, a niedługo stanie się pojęciem komicznem...

— No, no, Nörgaard będzie posłem! cóż ty na to Engelko?

Siedziała teraz cicho, gładząc ręką serwetę na stole.

— Daj mu pokój! — odrzekła.

— Słusznie, trzeba zostawić go w spokoju. Właściwie nadaje on się bardzo dobrze do całej tej komedyi zwanej u nas polityką! Cóż Danii po wielkich mężach stanu? Jej polityka — to jedna wielka sieczkarnia...

Pauli uśmiechnął się.

— A sieczka to pokarm dla wyborców. Tak jest; zapewne, że z pokarmu tego utyć nie mogą, lecz głód w części zaspokoją. — Po chwili zaś dodał. — Lecz sieczka Nörgaarda nie należy, zdaje się, do najlepszego gatunku. Czy ma on jaki program?

— Naturalnie. Zwykłe głupstwa.

Pauli wyjął z kieszeni małą gazetę i podał ją Bergströmowi.

— To jest organ miejscowy, możesz sam zobaczyć, tu jest wszystko.

Bergstrom wziął do ręki pismo, szukał przez chwilę, potem z zadowoleniem usiadł w fotelu i czytał:

— Wybory do parlamentu. Söllerup. Palmowa niedziela. Z pewnego źródła dowiadujemy się, że zarząd tutejszego koła konserwatywnych wyborców, w porozumieniu z wybitnymi konserwatystami w okręgu, polecił przy nadchodzących wyborach starać się o mandat panu asesorowi Nörgaard z Kopenhagi — jako kandydatowi prawicy, na co tenże przychylną nadesłał odpowiedź.

— Jaki wspaniały styl! — ale czytajmy dalej.

— . . . rezultatu takiego możemy przyjaciołom naszym życzyć szczerze. Jak wiadomo, nazwisko Nörgaarda, dzięki znakomitym jego dziełom filozoficznym i estetycznym..·

To są zapewne jego „Błędy ortograficzne“ — wtrącił Pauli.

— Tak... znanem jest dobrze w świecie uczonych. Uznanie, jakiem się cieszy, zjednały mu słusznie jego gruntowne, ściśle naukowe dzieła, które w niczem nie przypominają owych powierzchownych, na takich efektach opartych utworów, ani też owych fanatycznych, agitacyjnych prac innych pisarzy — zbytecznem byłoby wymieniać nazwiska... W latach ostatnich z równą gorliwością poświęcił się on sprawom politycznym a i na tem polu zjednał sobie ogólne uznanie ludzi równie myślących. W końcu dodać musimy, że konserwatyści naszego okręgu zyskają w asesorze Nörgaard siłę wybitną; człowiek ten życie swe poświęcić jest gotów w walce przeciwko przewrotowym, burzącym dążnościom chwili obecnej. Podejmie on walkę zaciekłą z tymi kuglarzami, którzy niczego nie uszanują, co drogiem jest ludowi naszemu,

naród polski zaprzepaściła i dzisiaj wiedzie go na bezdroża...

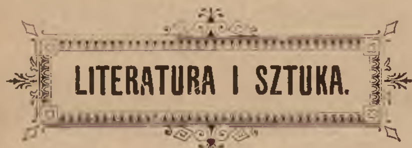
To mi polski patryotyzm polonizować, łacinizować ruski lud. a nie bronić (?) Wielkopolan przed niemczeniem. Taki patryotyzm niemiły polskiemu ludowi, ruskiemu i Słowianom wogóle. Galicyjscy patryoci nie powinni o tem zapominać, iż odtąd rozpoczął się nasz upadek, odkąd poczęliśmy miejsca ustępować Niemcom, a polonizować i łacinizować Rusinów. Przypominamy to naszym braciom galicyjskim w „„Hałyczaninie"", którego już z tej racyi nie możemy potępiać, że nie powoduje się polityką egoizmu wobec Słowian. Prześladując panslawizm zapominają Galicyanie o pangermanizmie, który już pochłonął Słowian nad Łabą, Odrą, w Pomorzu. Panslawizm nie wynarodowił nikogo z Polaków, gdy pangermanizm tyle nam ofiar zabrał.

„Wiemy, że nas za to odezwanie galicyjscy Polacy nazwą panslawistami, opłacanymi przez Rosyą itd., ale żadną miarą nie możemy pochwalać tego, co dziś Polacy w Austryi robią, wchodząc w sojusze z Niemcami i Madziarami.

„Naszym punktem wyjścia powinna być polityka polsko-słowiańska, która nas wiodła pod Grunwald, nie pod Wiedeń. Słusznie swego czasu chcieli Wielkopolanie, zamiast iść pod Wiedeń, odbierać Niemcom Szląsk i Pomorze, ale wpływy rzymskie wzięły górę.

„Ta to nieszczęsna polityka i źle pojęty patryotyzm panują u nas i dzisiaj i gubią polski naród, a razem z nim i część ruskiego narodu, który w Galicyi mieszka".

D. K.



Jak śpiewać?

A gdy śpiewać, to już śpiewać,
Jak ptaszkowie leśni.
Ani wiedząc, ani dbając,
Czy kto słucha pieśni.
Nigdy ona nie stracona,
Pochwycą ją drzewa,
W szepcie, w szumie, w cisz zadumie,
Bór ci ją odśpiewa!

A gdy śpiewać, to już śpiewać
Od serca, od ucha.
Piosnka wrząca, krew gorąca,
Jak wulkan wybucha...
Pieśń nie woda, siły doda,
Jak piastowe miody,
Tyle życia, co serc bicia,
Co w pieśni pogody!

A gdy śpiewać, to już śpiewać,
Jako duszy wola,
Na te łany, na ugory,
Na te zbożne pola.
Toć jak chleba im potrzeba
Plennej pieśni siewu,
Nic nie wzrośnie naszej wiośnie
Bez oraczów śpiewu!

A gdy śpiewać. to już śpiewać
Po tej rannej rosie.
Leć z świtaniem, z zorzy graniem,
Miłej piosnki głosie!
Z białą rosą echa niosą
Pieśń naszą daleko,
Niech nas słyszą, ranną ciszą,
Za górą, za rzeką.

A gdy śpiewać, to już śpiewać
Od nieba do ziemi,
W prostej wierze, mocno, szczerze,
A między swojemi!
Dan, czy nie dan poklask pieśni,
Co mi to zapłaci?
Nie ja stroję gęśle moje,
Ale miłość braci!

Marya Konopnicka.

OLLA HANSSON.

BÖCKLIN.

(Dokończenie.)

III.

Jest pewien rodzaj spokoju życiowego, który nazwaćby można praktycznym. Człowiek ma wrodzoną potrzebę „zoryentowania się w życiu": każdy zaspakaja tę potrzebę na swój sposób, lecz pochodzenie i cel tej potrzeby u wszystkich są jednakie. Charakterystycznym rysem tego rodzaju spokoju jest, że osiągnąć się daje albo za pomocą nizkich już od samego początku wymagań, albo też za pomocą stopniowego, dobrowolnego obniżania żądań pierwotnych. Filister posiada taki spokój, ten, kto na życiu zbankrutował, może go odzyskać.

Jest inny rodzaj spokoju życiowego, który nazwaćby można — teoretycznym. Posiadali go wszyscy wielcy metafizycy, którzy usiłowali przystosować życie swoje do wszechpotężnego systemu filozoficznego, posiadały go wszystkie pojedyńcze umysły i całe epoki dziejowe. które potrafiły scharmonizować stosunek wszechświata własną jaźnią i w tworze tym żyć umiały. Taką epoką historyczną jest francuski ancien régime; najwybitniejszym przedstawicielem tej grupy umysłów indywidualnych jest Goethe. W poezyi Heysego drga jeszcze blady odblask tego spokoju życiowego: jest w nim atoli już subtelne czucie dla niepochwytnych odcieni nastrojów chwilowych współczesnego temperamentu.

Dwa te rodzaje spokoju mają jednę cechę wspólną: osiągnąć je można za pomocą najniższych lub najwyższych funkcyi rozumu. W przeciwstawieniu do nich spokój Böcklina jest spokojem instynktu, spokojem sił żywotnych.

Dwaj współcześni pisarze w temperamencie i w dziełach swoich mają rys zbliżony do tego, co nazywam Böcklinowskim spokojem. To, J. P. Jacobsen i Turgenjew. Lecz u pierwszego spokój jest rozedrganą bezdusznością nieruchomo zapatrzonego w jeden punkt księżyca; u drugiego — melancholijną ciszą dnia jesiennego. Natomiast spokój Böcklina jest ciepłą ciszą dnia letniego, ciszą południa, wśród której słońce staje w samym środku ciemno-błękitnego nieba.

Ten przedziwny spokój, który bezpośrednio, mimowoli, bez współdziałania widza płynie z obrazów Böcklina, nie jest czemś, co artysta włożył w nie świadomie; jest to tylko wyrażający się w barwach i kształtach proces jego instynktu. Barwy i linie nie są tu pierwiastkiem istotnym, pierwszorzędnym — są one tylko środkami, za pomocą których wyraża się w zewnętrznych, widocznych, konkretnych rysach wrodzona jaźni jego odrębność czucia. Spokój w jego obrazach nie jest czemś samodzielnem w sobie, nie jest odrębną całością, o własnym bycie — jest to tylko forma bytu istoty Böcklina, forma bytu owych nieowarunkowanych, pierwotnych cech, stanowiących jądro indywidualności, z którego wszystko wyrasta: kształty cielesne i własności psychiczne a więc i te organizmy, które żyły w jednym ze zmysłów, jako dźwięk lub jako barwa, a które zowiemy dziełami sztuki.

Zkąd pochodzi, że jedno jakieś dzieło sztuki budzi w nas uczucie rozkoszy, inne — uczucie niesmaku? Na pytanie to odpowiedzieć może tylko psychologia procesu twórczego. Jeżeli dzieło sztuki budzi w nas uczucie rozkoszy, to i artysta tworzył je w rozkoszy, uczucie zaś niesmaku, którego doznajemy wobec innego jakiegoś dzieła sztuki, jest tem samem uczuciem, jakiego przy tworzeniu doznawał artysta. Dzieła sztuki, podobnie jak i ludzie, posiadają duszę, indywidualność, posiadają coś, co jest nie-

---

ktorzy miłość ojczyzny, wierność koronie, religię, moralność — wszystko znieść usiłują!...

— Posłuchajcie, teraz najlepsze! — zawołał Bergström, czytając dalej z zajęciem.

— Przynajmniej zaznaczył asesor Nörgaard dobitnie w swej odpowiedzi, że stoi na gruncie religijnym i że — co zatem idzie — za jeden z najgłówniejszych punktów swego programu uważa walkę z coraz więcej szerzącą się niemoralnością.

— Tego to już za wiele — rzekł, rzucając gazetę.

Wstał i parę razy przeszedł pokój szybkimi krokami.

— Ależ, cóż jest takiego? — spytał Pauli zdziwiony.

— To takie wstrętne, wierz mi ojcze — odrzekł, nie zatrzymując się.

Był cały wzburzony.

— Powiedzże, co jest u licha? — niecierpliwił się Pauli.

Bergström zaprzeczył głową.

— Nie mogę źle mówić o ludziach — a zwłaszcza o nim... możnaby to sobie źle tłomaczyć... a zresztą Engelke...

— Ależ nie krępuj się — zapomniała go już dawno!

Bergström przez chwilę się wahał. Wreszcie rzekł:

— Człowieka tego nie należy oszczędzać, dotąd nie mówiłem o tem nigdy, dla tego, że...

— O cóż chodzi? — przerwał mu Pauli.

— Chodzi o to, że porządny ten pan, który oficyalnie życie swe walce z niemoralnością poświęca, — sam nie jest bez grzechu. Miał on, mianowicie tu w Kopenhadze, stosunek z pewną młodą osobą, którą następnie niegodnie porzucił, tak że biedna kobieta z dzieckiem rzuconą była na pastwę nędzy i urągowiska, — a pan ten nie poczuwał się do obowiązku przyjść jej w czemkolwiek z pomocą! To miałem do powiedzenia!

Po chwili milczenia zapytał Pauli ostro:

— Czy wiesz o tem na pewno?

— Tak. Słyszałem to od mego przyjaciela, młodego lekarza, który sam leczył tę biedną dziewczynę w chorobie: nie ma najmniejszej wątpliwości, że tak jest.

Nastało długie milczenie. Pauli poszedł do okna i stał odwrócony.

— A to piękna historya! — rzekł w końcu.

Bergström zbliżył się do niego.

— Sprawa ta — rzekł — nie gorsza od innych w tym rodzaju, lecz ten punkt jego programu — przyznam się, zirytował mnie trochę. Co to znaczy, że się niczego po nim innego nie spodziewałem, że nadaje się on do tej komedyi, do tej w pewien system ułożonej obłudy itp. — wszystko to są abstrakcye; całkiem zaś co innego konkretny fakt, który mu w twarz rzucić można...

Podszedł teraz do Engelki i schyliwszy się pocałował ją w czoło.

— A cóż mówi na to moja mała narzeczona?

To wstrętne — szepnęła, nie patrząc na niego.

— Co ona mówi? — spytał od okna Pauli.

— Ona sądzi, że to wstrętne, — i ma słuszność najzupełniejszą... No, ale porzućmy te uroczyste miny; przyjaciel nasz postąpił brzydko, — lecz cóż to nas obchodzi właściwie? Możemy nawet z okazyi pozbycia się go w porę — urządzić ucztę maleńką, jemu zaś życzyć powodzenia na nowo obranej drodze.

Pauli zbliżył się teraz do stołu.

— Tak, mój przyjacielu, to całkiem słuszne, ale pomyśl jakie to dla nas jest przykre: bywał on tak często w domu naszym, z Engelką tykają się nawet... Wmawiałem sobie, że posiadam trochę zdolności psychologa a na tę historyę przysiągłbym, że jest nieprawdą! Absolutnie! To, co w pierwszym rzędzie cechowało tego człowieka, to pewna... jakby tu powiedzieć — brutalna bezwzględność, głupota aż do ostateczności... ale mimo to zdawał się być prawym, uczciwym! Na zewnątrz sztywny, szorstki, lecz strona wewnętrzna — sądziłem — musi być jak liść wygładzoną... A tu ta historya... Doprawdy, że wstyd będzie witać tego człowieka na ulicy!

uchwytne a jednak o głównem stanowi wrażeniu; wibracya, unosząca się z dzieła sztuki a udzielająca się widzowi, jest ową duszą. Ta zaś wibracya, którą my odczuwamy, towarzyszyła artyście w procesie tworzenia, dzieło sztuki przewodzi ją tylko, przenosi od niego ku nam, jest właściwie tylko uzmysłowioną wibracyą, duszą, przyobleczoną w powłokę cielesną.

U Böcklina pierwsza taka wibracya jest uczuciem rozkoszy. Pozostaje ono czystem, niezmąconem, całkowitem przez czas trwania procesu twórczego i udziela się nam w końcu jako główne i ostateczne wrażenie. A jest to uczucie rozkoszy szczególnego rodzaju — uczucie pozytywne, bez przymieszki, uczucie rozkoszy par préférence.

Jest prawdopodobnem, że każdemu aktowi tworzenia i poczęcia, towarzyszą zarówno w świecie fizycznym, jak i w świecie psychicznym uczucia rozkoszy. Poczęcie jakiejś idei odbywa się wśród rozkoszy, bez względu na istotę poczętej idei. Faktem jest, pod względem moralnym smutnym, lecz pod względem psychologicznym prawdziwym, że i przestępca, w chwili powzięcia zbrodniczych pomysłów, doznaje tych fizyologicznych zmian, które psychologicznie wyrażają się jako uczucie rozkoszy. I zdaje mi się, że trudno byłoby odgraniczyć cechy normalne od nienormalnych; zdaje mi się, że od skrajnej funkcyi patologicznej do najwyższej, najidealniejszej czystości, od czynu zbrodniczego do czystej idei duchowej, dusza ludzka wznosi się po tej samej, nieprzerwanej drabinie, co przeszkadza jednak ocenianiu czynów.

Zastanówmy się n. p., wśród jakich uczuć poczęte zostały dzieła, jak „Pot-Bouille“ lub „Widma“, „Sonata Kreutzerowska“ lub „Panna Julia“. Jestem przekonany, że pierwsza chwila, chwila poczęcia, „natchnienia“, chwila, w której myśl poraz pierwszy powstała w duszy pisarza, była chwilą niesłychanej rozkoszy. Lecz jestem również szczerze przekonany, że w dalszy proces tworzenia wplątały się najrozmaitsze pierwiastki niesmaku. I gdyby cofnąć się w przeciwnym kierunku, poza chwilę poczęcia i zbadać, co poza nią leży, znalazłoby się z pewnością kłębek świadomych i nieświadomych wrażeń niesmaku, które tylko w chwili, kiedy artysta pochwycił główną nitkę, zmieniły się w uczucie rozkoszy a przy dalszem odwijaniu jej do pierwotnego powróciły stanu. Pisarzy tych zapładniał niesmak; uczucie rozkoszy było tam jednakiem zawsze zjawiskiem przelotnem.

Epoka nasza jest w wyższym może stopniu, niż którakolwiek inna, epoką uczuć niesmaku. Źródła tych uczuć głębsze są i obfitsze, niż kiedykolwiek. Nigdy przepaść między jednostką a światem nie była tak wielką, albo może też nigdy tak wielką się nie wydawała. Sprzeczność między wewnętrznym światem osobowości a światem urządzeń zewnętrznych zaostrzyła się silniej, niż kiedykolwiek. I ognisko tego niesmaku: sprzeczność, konflikt, rozdwojenie — przeniosło się również w jednostkę; indywidualność jej nie odzwierciadla harmonijnej, skończonej, jednolitej wszechbudowy, natomiast życie jej jest jakby osobowościową walką wśród niezliczonego tłumu idei i systemów, rozwiązań zagadek życiowych i zbawczych niby utopii. Wokoło nas i w nas wszystko chwieje się, wszystko błyskotliwe rzuca światła, nigdy jeszcze brak punktu ciężkości tak dotkliwie ludziom uczuć się nie dawał i nigdy ludzkość więcej odeń nie była oddalona. Odczuwali to wszyscy pisarze, w których się wiek nasz zindywidualizował; odczucie zaś i uzmysłowienie tego było tajemnem ich cierpieniem i siłą tajemną, zapłodniło bowiem ich uczucie niesmaku; ono stało się w nich dźwiękiem i formą, wezbrało w nich, jako pieśń i wyrosło w nich na postacie.

Silnym wobec nich kontrastem, zjawiskiem zupełnie odosobnionem, jest Böcklin. Jest on przedstawicielem uczucia rozkoszy w świecie twórczości duchowej. Czerpie z rozkoszy i udziela rozkosz. Niema w nim rozkładowego fermentu Ibsena, ani kultu brzydoty Zoli, ani samomęczeńskich upodobań Tołstoja, ani szału pokonywania samego siebie, który cechuje Nitzschego; niema w nim też tej słodkiej melancholii, która charakteryzuje — o tyle więcej uświadomionych i o tyle zarazem wrażliwszych — ludzi dzisiejszych, świadczy zaś właściwie o odczuwaniu braku i jest przeto zamaskowanem, w najsubtelniejszą, w najdyskretniejszą formę ujętem uczuciem niesmaku. W Böcklinie jest czysta, pozytywna rozkosz. I nie stanowi ona dla niego jedynie formy tworzenia, jest treścią, materyałem; towarzyszy nietylko poczęciu idei, lecz zlewa się z ideą, jest jej właściwą istotą; trwa tedy przez czas trwania procesu twórczego, istniała bowiem przed chwilą poczęcia, leżała poza tą chwilą, jako kłębek uczuć rozkoszy. Jest poprostu indywidualnością Böcklina, właściwą istocie jego formą bytu, jest jemu tylko danym, znikłym w czasach naszych — harmonijnym, wyższości pełnym, żywotnym spokojem.

Istnieje własny portret Böcklina, który boczną jakąś furtką, w odbiciach wydostał się na rynki. Mistrz stoi z podniesionym pędzlem — tak jakby przed chwilą był jeszcze malował i wskutek jakiejś przeszkody nagle pracę przerwał. Przyczyną przerwy tej — to ukazująca się tuż poza nim postać „śmierci“, która na skrzypkach melodye mu swoje wygrywa. Mistrz niebardzo się tem przestrasza; przerywa wprawdzie robotę, lecz bokiem tylko spogląda na szczerzącego nań zęby upiora i nie zadaje sobie nawet tyle trudu, by mu się dobrze przyjrzeć. Słucha uważnie, lecz gra ta nie umie widać zachwiać poglądu jego na świat. Wygląda nawet trochę humorystycznie, filuternie, jak gdyby chciał powiedzieć: „Słuchaj, nie uda ci się: widziałem i odmalowałem bowiem raz wielkiego boga Pana, podczas gdy głupi pastuszek uciekł z przestrachu. Pan miał wyraz twarzy szyderczy — lecz zupełnie dobroduszny. Raz, przy sposobności widziałem i odmalowałem też boga mórz z całą jego rodziną, w chwili, kiedy na skale lodowej, pod biegunem północnym oddawali się poobiednim wywczasom; wszyscy zaś oni — stary, stara, dzieciaki i wieloryb domowy bardzo ujmujący mieli wygląd. Grajże sobie tedy pieśni swoje; nie są bynajmniej tak straszne, jakbyś przez przykry grymas twój wmówić nam pragnął. Wiedz bowiem, że odkąd słyszałem grającego na piszczałce swojej ojca Pana, rozumiem, że cały twój instrument jest piszczałki tej jednym tylko tonem. Gra twoja brzmi jak skok, krzyk i niepokój: to samo wygrywał stary Pan, lecz dźwięki te ginęły w morzu tonów tak potężnem, że szum ich spływał w człowieka, jako — spokój“.

Balladyna w Paryżu.

Paryski korespondent „Kraju“ poświęca następującą ocenę przedstawieniu „Balladyny“ w przekładzie p. Gasztowta w przeróbce p. Tenao na deskach teatru Renaissance:

„O ile wiem, tragedya Słowackiego, która w myśl autora, aczkolwiek na sceny podzielona, nie była dziełem scenicznem, nie doczekała się dotąd przedstawienia u nas. (Twierdzenie to jest mylnem. Balladyna ukazała się kilkakrotnie na polskich scenach. Przyp. Red.). Myślę do dokonanej tutaj probie, że byłoby to i u nas nawet po polsku, nawet z ozdobą, w oryginale najbogatszego języka poetyckiego, jakim może się pieścić ucho ludzkie, przedsięwzięciem ryzykownem i niepożądanem. (?) Tutaj, krótko rzecz wyrażając, przedsięwzięcie to stało się poprostu zamachem na sławę biednego wielkiego poety. Po francusku „Balladyna“ wypadła śmiesznie i nie mogła wypaść inaczej. Żaden też z nas tu przebywających, którzy mamy jakie takie pojęcie o tem, co się należy i pamięci wielkich poetów i literaturze, a sztuce w ogólności, nie byłby dał swojego głosu tej

---

— Można też nie kwapić się zbytnio — wtrącił Bergström.

— Tak, zapewne... ale ja się z nim niewątpliwie spotkam jeszcze w przyszłości. Zadania nasze prawie te same, chociaż on prace moje uważa za głupią bazgraninę!... Jako poseł pozyska jeszcze pewniejszą pozycyą, a zanim się obejrzymy, zostanie profesorem uniwersytetu. Sądząc z obecnych stosunków w kraju, zdaje się to być prawie pewnem. A być kolegą Nörgaarda, dalibóg, to do miłych nie należy rzeczy.

Bergström na razie nic nie odrzekł, dopiero po chwili milczenia odezwał się:

— Ciekaw jestem, jakby przyjęli tę wiadomość cnotliwi mieszkańcy Söllerup?

— Nie wzruszyłaby ich zbytnio; o ile znam wogóle Jutlandczyków, przywykli oni w części do tego rodzaju moralności... W jednym tylko wypadku możeby to coś znaczyło: gdyby mianowicie kler miejscowy...

— Ależ ten nie wtrąca się do polityki!

— O, tak; od pewnego czasu nawet dość wielką rozwija agitacyą. Zwłaszcza w tej okolicy nabiera znaczenia przez proboszcza tamtejszego Sörena Hausena, — o ile się nie mylę, tak się nazywa. To jakiś — jak powiadają — potwór o niezwykłej sile.

— Sören Hausen? — wykrzyknął wesoło Bergström... ależ tak... Söllerup nazywa się jego probostwo. Mój Boże! przecież to mój przyjaciel, kolega! Przypominacie sobie tego zwaryowanego teologa, o którym wam opowiadałem? To ten sam. Tak, dzisiaj opowiadał mi pewien mój znajomy, że pastor obiecał Nörgaardowi tajemnie popierać jego kandydaturę przy wyborach, — rozumie się, tylko dzięki jego wybitnie chrześcijańskiemu programowi. Że też ci pietyści wszędzie się na ziemi odnajdują i wzajem popierają.

Pauli z miną człowieka ciężko zmartwionego sięgnął po gazetę.

— Ale dla Sörena mam mimo to wielki szacunek — ciągnął dalej Bergström — to człowiek z niezwykłym temperamentem! a przytem wielu obdarzony przymiotami — bujna bogata fantazya, werwa i zapał niebywały — porywający wszystkich patos! Jak on potrafił opisywać grozę grzechu i wielkość łaski Boga! Do licha! co to za człowiek! Gdyby tak do niego parę słów napisać? O Nörgardzie? o tym szkaradnym zwitku pergaminu!... jak sądzisz, ojcze?

— Zapewnie... możnaby!... — odparł Pauli.

— Nawet mamy prawo do tego; to byłoby dlań karą, na jaką właśnie zasłużył. A przekonany jestem, że skutek pożądany osiągnę i Sören, uczciwa dusza, niebo i ziemię poruszy, żeby tu przeciwdziałać. Znam jego energię i on go obali! Doprawdy, tak uczynię...

— Bez zbytniego pospiechu, zastanów się naprzód! — rzekł spokojnie Pauli. — W zasadzie byłoby to zupełnie słusznem; człowieka takiego jak Nörgaard należy usunąć od działalności społecznej. Uważałbym to nawet za czyn sprawiedliwej nemezys, gdyby upadł właśnie wskutek przesadnego swego programu, — lecz doniesienie to winno nie z naszej wyjść ręki. Przecież nie myślisz pisać anonimowego listu?

— Rozumie się, że nie.

— A zresztą to nie miałoby znaczenia. Gdy zaś podpiszesz twoje nazwisko, on się o tem dowie, — to i skandal gotowy! dla mnie najgorszy, gdyż my z pewnością jeszcze zejdziemy się w życiu. Niewymownie byłoby mi przykro spotkać się kiedyś z człowiekiem, któremu ktoś z moich blizkich, w ważnej chwili jego życia, taką wyrządził przykrość. Sądzę, że i Engelke byłaby tem dotknięta. Bądź co bądź, tak dobrze niegdyś żyli z sobą. Zostaw to lepiej! Bóg świadkiem, że etycznie zupełnie byłoby to usprawiedliwionem — lecz, szczerze mówiąc, niepraktyczne!

— Może być, nie przeczę! — odparł Bergström.

Po chwili zaś dodał:

— A jednak, chętniebym to uczynił!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

awanturniczej wyprawie po złote runo, zawieszone na gałęzi Grabcowej wierzby. Wierzba wywołała śmiech homeryczny w sali. Ale nie radzono się żadnego z nas. Jakto? Ani nawet Rzewuskiego? Nie! Nikt mnie nie posądzi o słabość osobliwą dla autora „Alfredyny“. Ale jest to bądź co bądź człowiek obeznany i z literaturą naszą i z warunkami teatralnego powodzenia na tutejszej scenie, jak nikt: człowiek niepospolitej inteligencyi także. Nie widziałem go nawet w sali. Któż tedy z rodaków dopomagał p. Léger w jego przedsięwzięciu? Pan Cypryan Godebski podobno, dobry rzeźbiarz, ani słowa. I nikt więcej? Nikt. Pan Léger mógł zresztą niewiedzieć, do kogo mu trafić należało. Inaczej, gdybyśmy mieli jakieś kółko swojskie, ogniskujące, jak mówiłem w moim ostatnim liście, nasze życie tutejsze. Mamy stacyę naukową, która stanowi przedłużenie linii A. B. na krakowskim rynku, i o której p. Léger zapewne nie wie, a i my sami nie bardzo wiemy. Panu Léger podobała się rola Grabca, więc odegrał rolę Grabca; a że nazajutrz prasa wyśmiała „w polskiem rzekomem arcydziele hiszpańską ollapodridę, czy też angielski pudding z „Lady Macbeth“, „Króla Leara“ i „Tytanii“, o to głowa go nie boli. Słyszałem po przedstawieniu rodaków utyskujących na złą wolę tutejszej publiczności i krytyki dla wszystkiego, co polskie. Bajka! wierutna bajka! Sarcey spał, co prawda, jak zabity już po drugim akcie (co mu się zresztą często zdarza); ale się zbudził przy końcu aktu piątego i oddał sprawiedliwość w swoim feljetonie ostatniej scenie tragedyi, która należy do najoryginalniejszych i najpotężniejszych natchnień teatralnych wszystkich krajów. A że w całości „Balladyna“ oryginalną nie jest; że pisząc ten poemat Słowacki miał na myśli Shakespeara, i wyhaftował tylko na tle wypożyczonem cudowne (po polsku) arabeski swojej wyobraźni, temu przeczyć niepodobna. Trzeba tedy było zostawić „Balladynę“ tam, gdzie ją u nas nawet potomność zostawiła, i albo nie pokazywać wcale Słowackiego Francuzom, albo pokazać go z innej strony. I trzebaby, aby tego rodzaju przedsięwzięcia, kompromitujące dla naszej literackiej sławy, nie mogły mieć miejsca w ten sposób, samopas, gwoli czyjejś tam fantazyi. Fantazya, zkądinąd niewinna, pana Léger byłaby pofrunęła gdzieindziej, gdyby było komu obciąć jej skrzydła, lub inaczej pokierować.“

EGOTYZM.

Wynalazcą tego nowego wyrazu i pojęcia jest Max Nordau, dostatecznie znany autor książki „Die Entartung“. Trzeba więc rozróżniać „tyzm“ od „izmu“. Egoistom brak w życiu zaparcia się siebie, szlachetności, wdzięczności, zresztą są to ludzie na ciele i umyśle zdrowi. Egotysta jest zjawiskiem patologicznem, jednostką zdegenerowaną, rozstrojoną umysłowo i moralnie. Nie rozumie on świata, przecenia wartość swojego ja, niezdolny do rozważania czynów, rządzi się tylko instynktami, popędem. Pragnień i zachcianek swoich zmysłów nie umie podporządkować względom innym. Skłonnościom i uczuciu, nieświadomemu siebie, przypisuje wagę śmieszną. Zdolności przystosowania się nie posiada absolutnie żadnej.

Egotysta opiera się przyrodzie, walczy przeciw społeczeństwu, przeciw obowiązującym prawom, które go drażnią i urażają. Znajduje się ustawicznie w konflikcie ze wszystkiem, co się wogóle dzieje, usiłuje wszystko zniweczyć, lub przynajmniej o tem marzy. Jest moralnym szaleńcem, złoczyńcą, pesymistą, anarchistą, mizantropem, ale wszystkiem tem przeważnie na wewnątrz.

Określając tak istotę egotyzmu, roztrząsa Max Nordau różne jego przejawy w literaturze.

Najpierw zapalonemu dyagnostykowi dostają się pod nóż secyjny t. zw. parnasiści. Ludzi należących do tej koteryi można według Nordaua scharakteryzować dwoma słowy: doskonałość formy i brak kompletny uczucia. Catulle Mendès doszedł do krańcowości w ich teoryi, napisawszy taki wiersz:

Rozalia, Emelina,
Małgorzata,
Odetta,
Aliza, Alina,
Paulina, Hippolita,
Lucya, Lucyla,
Cecylia,
Dafna, Melita...

Litania ta imion żeńskich ciągnie się jeszcze przez strof jedenaście, aż w końcu dość tego i poecie, więc kończy:

Zelma, Zelia,
Regina, Rena,
Irena?...
O! jeszcze nie wszystkie!

Max Nordau bawi się tem dziwactwem poety, pojmując doskonale, jaką przyjemność sprawiać może don Juanowi wyliczanie w pamięci kobiet, które kochał.

Leconte de Lisle i Catulle Mendès protestowali przeciw zarzutowi braku uczucia. Są oni raczej bezwzględni aniżeli bezuczuciowi. Swobodnie pielęgnują swój egotyzm. Nie uznają ani zbrodni ani cnoty, tylko rzecz piękną lub brzydką, szlachetną lub nizką.

U Baudelaira ujawnia się amatorstwo zła i lenistwa. Czem jest Baudelaire? Max Nordau nie obchodzi się z nim wcale delikatnie. Baudelaire przez cały żywot nosił na sobie stygmaty degeneracyi. Był zarówno sceptykiem, jak erotomanem, używał haszyszu i opium. Czuł słabość charakterystyczną do innych egotystów, a ze wszystkich autorów poważał najbardziej waryata Edgara Poë i morfinistę Thomasa de Quimeye.

Więc nie dziw, że Baudelaire nienawidzi przyrodę i życie, że się rozkoszuje obrazem śmierci i zgnilizny, że najchętniej wdycha woń rozkładu. Co go jeszcze podrażnia i interesuje, to przewrotność, kłamstwo, podłość. Zwraca się w modlitwach ku szatanowi i cieszy się na gorejące piekło.

O uczniach i następcach Baudelaire'a, niechaj nikt sobie nie wyobraża, aby mieli być lepszymi od swego mistrza. Tęsknotę, szaleństwo i amatorstwo do strupieszałości i zgnilizny odziedziczył po nim Maurice Rollinat. Jean Richepin w swych „Śpiewach żebraka“ zapożyczył u niego maniery uświęcania złego.

Baudelaire'a dyabolizm wypieścili Villiers de l'Isly i Barbey d'Aureville. Obydwaj ci poeci mają obok cech powszechnych degeneracyi cały szereg znamion specyalnych. Villiers i Barbey przywłaszczyli sobie, jak waryaci zwykli czynić, pochodzenie fikcyjne. Pierwszy miał się za potomka wielkiego mistrza kawalerów maltańskich (który jako taki rozumie się nie mógł być żonatym). Pewnego dnia zwrócił się do królowej angielskiej z prośbą, aby mu jako dziedzicowi prawomocnemu dopomogła do wskrzeszenia państwa na Malcie.

Barbey przyłączył do swego nazwiska przydomek szlachecki d'Aurevilly i mówił zawsze o swem pochodzeniu szlacheckiem, w czem nie było ani słowa prawdy. Obydwaj byli fanatycznymi katolikami, oddając się atoli praktykom bezbożnym. Obydwaj lubowali się w kostyumach dziwacznych. Villiers de l'Isle, a więcej jeszcze Barbey d'Aureville stworzyli w poezyi kult satanizmu, przypominający szaleństwa średnich wieków. Barbey tutaj doszedł do ostatecznych granic fantazyi.

PIOTR LOTI.

SKAZANY NA RZEŹ.

Płynęliśmy przez ocean Indyjski.

Smutny to był wieczór, wiatr świszczał i jęczał żałośnie.

Z dwunastu wołów, jakie zakupiliśmy w Singapoor, aby nam w drodze nie zabrakło pożywienia, dwa już tylko pozostały. Starano się oszczędzać dwie te ostatnie ofiary, bo podróż przedłużała się z powodu wiatru przeciwnego.

Litość wzbudzał widok obu tych zwierząt, wychudłych, z szerścią wytartą i z wystającemi kośćmi na biodrach. Od wielu już dni znajdowały się one na okręcie, pozostawiwszy za sobą swoje pastwiska, do których nigdy już nie miały powrócić. Przywiązane za rogi do słupa, stały obok siebie i pokornie poddając się losowi, smutnie spuszczały łby. ilekroć spienione fale morskie, rozpryskując się o boki okrętu, oblewały ich ciała strumieniem zimnej wody. Spoglądając przed siebie zamglonem okiem, przeżuwały one zarazem stęchłe siano, zmoczone nieco słoną wodą. Skazańce to były, zawczasu nieodwołalnie wykreślone z grona istot żyjących — skazańce, które przed chwilą zgonu dużo jeszcze cierpieć miały. Chłód, silne wstrząśnienia, wilgoć, strach, odrętwienie boleśnie dawały im się we znaki.

Dziwnie smutnym wydawał mi się ten wieczór. Na morzu niejednokrotnie zdarzają się podobne wieczory, gdy czarne ołowiane chmury wloką się leniwo po niebie, a zapadająca noc grozi burzą. Wtedy, czując się samotnym w pośród niezmierzonej wód przestrzeni, człowiek doznaje dziwnego jakiegoś strachu, którego na lądzie ciemności nocne nigdyby wzbudzić w nim nie zdołały. A dwa te biedne woły — istoty na łąkach i bujnych pastwiskach wzrosłe, czujące się stokroć więcej od nas osamotnionemi na tej wodnej pustyni i nie znające pociechy, jakie w serca ludzkie wlewa nadzieja, musiały bez wątpienia odczuwać po swojemu nieokreślony ów strach, który budził w nich poczucie bliskiego skonu.

Przeżuwały one siano, z widoczną trudnością poruszając osłabionemi szczękami, a duże ich oczy wpatrywały się nieruchomo w ponure wód bezmiary. Dawni towarzysze kolejno tuż przy nich padali martwo na deski pokładu; wzrastające osamotnienie zbliżyło ich widocznie ku sobie, bo oto w dowód przyjaźni dotykały się wzajemnie rogami.

Wtem jeden z majtków, czuwających nad pożywieniem załogi, zbliżył się do mnie i wyrzekł uroczystym tonem:

— Kapitanie, trzebaby zabić wołu!

Niechaj go licho porwie z jego zabiegliwością. Gniew mnie ogarnął, choć, prawdę mówiąc, człowiek ten nic nie zawinił, spełniając swój obowiązek. Ale... nieszczęściło mi się dziwnie podczas tej przeprawy: ilekroć byłem na służbie, zawsze zabijano wołu. Czynność ta odbywała się w pobliżu miejsca, na którem znajdować się musiałem, a wtedy nadaremnie odwracasz oczy, starasz się myśleć o czem innem lub wpatrujesz w dal — zawsze uszu twoich dojdzie uderzenie obucha w sam środek czoła biednego zwierzęcia, przywiązanego za rogi ze spuszczonym łbem... a następnie łoskot ciała, padającego bezwładnie na pokład. Potem znów obdzierają zwierzę ze skóry i ćwiertują je... Wstrętna, mdła woń rozchodzi się wokoło, a krew rozpryskuje się po pokładzie, tak czysto zazwyczaj utrzymywanym. Ohydny, przerażający widok!

Trzeba było zatem zabić wołu! Gromadka majtków skupiła się wokoło słupa, do którego miano przywiązać zwierzę, poczem z obu pozostałych wołów wybrano słabszego, który zdychał już prawie i bez oporu dał się na śmierć prowadzić.

Wtedy drugi wół zwolna odwrócił głowę, smętnem spojrzeniem przeprowadził oddalającego się towarzysza, a widząc, że wiodą go tam, gdzie tylu innych poprzednio wydało ostatnie tchnienie, nagle zrozumiał wszystko; błysk świadomości przemknął przez umysł przeżuwającego zwierzęcia i z piersi jego wydarł się ryk rozpaczy... Ryk tego wołu! nigdy w życiu nie słyszałem okrzyku, więcej rozdzierającego serce! Zimny dreszcz mnie przebiegł... W głosie tym dźwięczał gorzki wyrzut, uczyniony całemu rodzajowi ludzkiemu, a zarazem głębokie, rozrzewniające uczucie poddania się losowi... w ryku

Tak więc Baudelaire spłodził Barbeya, a Barbey spłodził Józefa Peledana, wielkiego maga ich szkoły. Z tego rodu pochodzi głośny dziś w Europie I. K. Huysman. O nim mówi Nordau, że jest klasycznym typem hysteryka bez oryginalności.

Rozpoczął on karyerę literacką jako wielbiciel fanatyczny Zoli i w pierwszej fazie twórczości wyrzucał z siebie powieści i nowele, w których, jak n. p. w „Marcie“, prześcignął pierwowzór swój w brudnym naturaliźmie. Potem nagle zapatrywania zmienił — zwyczaj to histeryków — wyparł się Zoli i wpadł w dyabolizm, upajając się Bandelairem. Jako dekadent jest Huysman, zdaniem Nordaua, tak samo bezmyślnym, jakim był w okresie naturalizmu...

Cały rozdział poświęca autor Ibsenizmowi. Nordau nie odmawia Ibsenowi wielkiego talentu, przeciwnie z pietyzmem pewnym rysuje jego sylwetkę literacką, tak zaszczytnie wyróżniającą się wśród świata sztuki. W końcu atoli wydaje się, że według mniemania jego autor „Dzikiej kaczki“ także zdrowym nie jest, że jest również zdegenerowanym, rozstrojonym, słowem — waryat.

Czy są ludzie zdrowi wśród rzeszy gladyatorów dzisiejszego cyrku literackiego? Może Gerhardt Hauptmann?

Hauptmanna ocenia Nordau na końcu swej książki. Żałuje, że autor „Tkaczy“ pozwala się zaliczać do towarzystwa „Młodych Niemiec“, bo do nich nie należy. Robi pewne ustępstwo jego estetyce trywialności, o której atoli powiada, iż wypływa z niedbalstwa, które zdradza poczynającą się płytkość talentu. Mimo to Hauptmann wyróżnia się kilku przedniemi właściwościami. Język jego pełen dosady, kolorowany naturalnie, wyraźny i przeczuty; poeta umie patrzeć na rzeczywistość i posiada zdolności zmieniania jej na poezyę.

Hauptmann jest poetą najniższych warstw społecznych. Operuje ludźmi najprostszymi, mówiącymi dyalektem. Gdy przystępuje do oddania charakterów bardziej skomplikowanych, klasy oświeceńszej, wówczas stąpa chwiejnie, ucieka się do wzorków realistycznych, zamiast brać wszystko z rzeczywistości. Jego dramat „Tkacze“ wzbudza współczucie nie dla jednostki, ale dla całej warstwy. Tym sposobem stworzył nową formę dramatu, którego bohaterem nie jest osoba, ale tłum. Znajomym Hauptmanna doradza, aby świadomość poety pogłębiali, jeżeli chcą, aby pozostał artystą, którym pokazał się w „Tkaczach“.

D. Królikowski.

W setną rocznicę
trzeciego rozbioru Polski.

(Podług rozprawy Philippsona i Sorela „O pokoju Bazylejskim“).

Dnia 19 lipca 1792 r. zaszczyciło „złotą“ Moguncyę świetne i dostojne towarzystwo, składające się z dwóch głów ukoronowanych: Franciszka austryackiego, ogłoszonego cotylko cesarzem w pobliskim Frankfurcie i króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II. Wobec szczupłego i niepozornego „Spiessbürgera“ Habsburga tem wspanialej uwydatniała się postać Hohenzollerna, który w całej pełni rozwoju zdawał się być niejako uosobieniem władzy i mocy.

Obaj monarchowie jeden cel mieli na względzie: pragnęli ukrócić wodze cotylko wybuchłej rewolucyi francuskiej, hardo i zuchwale wypowiadającej wojnę władzcom starej Europy.

Cesarz — piastun najwyższej i najstarszej godności chrześciańskiej, blisko spokrewniony z nieszczęśliwym dworem francuskim, wystąpił w charakterze reprezentanta legitimizmu i zdeptanego prawa; — monarcha pruski, ambitny i pełen nadziei paladyn absolutzmu i tradycyjnych instytucyi, stanął naprzeciw samowoli ludów i rewolucyjnej wolności jako prawdziwy typ króla z „Bożej łaski“. W zamku elektora i zarazem wielkiego kanclerza rzeszy niemieckiej bawiono się ochoczo; — wyprawiano uczty, bale i koncerty; — wieczorem potężny Ren zajaśniał tysiącem świateł; — zdawać się mogło, iż prastare, święte państwo rzymskie pragnie przed końcem swego istnienia raz jeszcze ukazać się w całym swym blasku narodowi niemieckiemu.

Lecz wszystko to pozorem było jedynie... obłudą!

Kiedy monarchowie światu całemu zapowiadali krucyatę przeciw rewolucyi — ich dyplomaci targowali się pokryjomu o szmat ziemi, jaki sprzymierzeńcom przypaść miał w nagrodę za poniesione trudy. — Prusy zupełnie bezprawnie żądały sporego kawała ziemi na wskroś prawowitej Rzeczypospolitej polskiej, Austrya natomiast domagała się wymiany Bawaryi za Belgią, (nie licząc się wcale ze zezwoleniem Wittelsbachów) oraz północnych prowincyi, należących do tego samego króla francuskiego, w którego obronie wyruszano na plac boju. Cesarski wicekanclerz Cobenze głośno nawet myśl swą wypowiedział, iż w miarę dłuższej wojny i wzrastających zaburzeń Francya gotową będzie do coraz większych ustępstw na korzyść Austryi.

Przymierze, opierające się li tylko na kłamstwie i prywacie, trwałem być nie mogło. — Niebawem zazdrość i niechęć wkradła się między sprzymierzonych, stanowczo paraliżując wszelkie wojenne operacye. — Tymczasem posłuchy o niepodległości francuskich rewolucyonistów już się ziściły. Nie waleczność, nie umiejętność sztuki wojennej, lecz brak jedności u przymierzonych stanowiły o ich zwycięstwie. To samo zdanie wygłosił niedawno sławny historyk francuski Artur Chuquet i wielu innych jego poprzedników.

Prusy sięgnęły już naprzód po nagrodę, przystępując wraz z Rosyą do grabieży Polski w r. 1793. Teraz i Austrya domagała się gwałtem udziału w zdobyczach, których Prusy w żaden sposób w Polsce ofiarować jej nie chciały, obiecując powetować straty w odległej Francyi. W tem wybuchło powstanie w Polsce i Fryderyk Wilhelm osobiście pospieszył pod mury Warszawy; Austrya mimo ugody wzbraniała się pospieszyć mu z pomocą. Rozchwiało się przymierze. Obawa przed Austryą paraliżowała wojnę Prusaków nad Renem; Austryacy zaś, chcąc Prusom wydrzeć kawał Polski, nie zasilali wojsk swych w Belgii, tak, że niebawem kraj ten wielki i bogaty dostał się w ręce Francuzów. — Naczelny wódz austryacki nie tail się bynajmniej, że chwilowo nie tyle zależy mu na prowadzeniu wojny z Francyą, ile na zatrzymaniu wojska w kraju, by stać na pogotowiu przeciw nieprzyjacielskim Prusom. Cesarski minister spraw zewnętrznych Thugut poznał w Prusach niebezpieczniejszą niż we Francyi rywalkę, nie życzył sobie zatem z niemi żadnej koalicyi, wysłał nawet do Londynu hr. Mercy, by nakłonił Wielką Brytanię do przekazania sum, wypożyczonych Prusom na rzecz Austryi.

Równocześnie zawiązał intrygę w Petersburgu, by Rosyę zniewolić do zerwania z Prusami, a natomiast działając z nią wspólnie w kwestyi polskiej, przeciągnąć ją na stronę Austryi. Dyplomacya wiedeńskiego ministra tak w Londynie jak i w Petersburgu pomyślny odniosła rezultat. Anglia wypowiedziała Berlińczykom pożyczkę, Rosya przystąpiła do współudziału z Austryą w sprawie polskiej.

Fryderykowi Wilhelmowi II groziło wielkie niebezpieczeństwo. Jego dawni sprzymierzeńcy okazywali mu jakąś niechęć; z drugiej strony parła republika francuska, która z dniem każdym w potęgę wzrastała. Zagniewany na Austryę i Rosyę, zaniechał oblężenia Warszawy. Równocześnie wybuchło powstanie w polskich prowincyach, do Prus należących; powstańcy zdobyli Bydgoszcz i oblegli Toruń, a przy tem wszystkiem finansowe stosunki państwa w opłakanym znajdowały się stanie. — W Berlinie zawiązały się w sprawie pokoju dwa stronnictwa. Stronnictwo jedno — starej szkoły Fryderyka Wielkiego, któremu brat zmarłego króla, książę Henryk, nadawał znaczenia swem wysokiem urodzeniem i ustaloną reputacyą wojenną, — pomijało całkiem interesa ogólnoniemieckie, a widząc w Austryi wroga Prus, chciało mieć we Francyi prawdziwego sprzymierzeńca i zawrzeć z nią osobny pokój. — Przedstawicielami drugiego stronnictwa było młode pokolenie, na wskroś przejęte duchem niemieckim, które tylko pod tym warunkiem zgadzało się na układy z Francyą, jeżeli układ ten zapewni pokój całemu państwu niemieckiemu, Haugwitz, a przedewszystkiem Hardenberg stali na czele tego politycznego stronnictwa i niebawem pozyskali dla sprawy swej samego króla. Chwiejny, dobroduszny i sangwiniczny Fryderyk Wilhelm widząc, iż sława pogromcy rewolucyjnej hydry i oswobodziciela korony francuskiej niechybnie go ominęła, uczepił się myśli zapewnienia pokoju całemu państwu niemieckiemu, postawienia Prus na czele Niemiec i poskromienia zazdrosnej Austryi. Nowy ten projekt polityki pruskiej znalazł poklask w całych Niemczech, które, zrażone nieustanną i żadnych korzyści nie przynoszącą wojną, cieszyły się nadzieją, iż zdołają bez wielkich ofiar okupić pokój za pośrednictwem Prus.

---

tym brzmiało coś stłumionego, w sobie skupionego, jak gdyby zwierzę jasno zdawało sobie sprawę, że jęki jego pozostaną bezowocnymi i nigdy oddźwięku nie znajdą. Zdawało mi się, że wół ten odczuwa głęboko swe osamotnienie i rykiem swym chce powiedzieć: „Ach! oto nadejść musiała wreszcie ostatnia chwila dla tego, który był już jedynym z moich braci, który wraz ze mną przybył ztamtąd... z ojczyzny... gdzie bujaliśmy swobodnie po łąkach. Wkrótce i moja kolej nadejdzie, a nikt nie ulituje się nademną, tak jak dzisiaj nikt nad nim nie ma litości!“

O! nieprawda! w mojem sercu zrodziła się litość bezgraniczna! Przez chwilę nawet taki szał mnie ogarnął, że chciałem tam pobiedz i przycisnąć do piersi wielki łeb nieszczęśliwego, schorowanego zwierzęcia! Wszak takiemi to zewnętrznemi objawami współczucia usiłujemy zazwyczaj podnieść zwodniczą nadzieję w sercach tych, którzy cierpią lub konają.

Niepodobna jednak było znikąd spodziewać się ratunku, skoro nawet ja, tak głęboko odczuwszy rozpacz biednego wołu, stałem sztywny, nieruchomy i rozmyślnie odwróciłem oczy. Czyż boleść bezrozumnego zwierzęcia jest pobudką, dostateczną ku temu, aby skrócić czas podróży, lub też trzystu ludzi pozbawić kawałka świeżego mięsa? Czyż nie nazwanoby szaleńcem człowieka, w którego umyśle powstałaby myśl podobna?

Mały jakiś chłopczyna, który zapewne także nikogo nie miał na świecie i nigdy nie znalazł litości, usłyszał ten jęk i w głębi duszy zrozumiał bezmiar dźwięczącej w nim rozpaczy. Pobiegł bez namysłu do biednego wołu i pieszczotliwie głaskał go po łbie. Gdyby dziecię to umiało wyrażać jasno swe myśli, niezawodnie byłoby ono powiedziało:

— I oni także umrą kiedyś, ci wszyscy, którzy ciebie jutro zabić zamierzają... umrą, nie wyłączając najzdrowszych i najsilniejszych... a kto wie, czy straszna ta chwila nie będzie dla nich boleśniejszą, niżeli nią jest dla ciebie... kto wie, czy więcej cierpieć nie będą i czy nie woleliby, aby ich ogłuszono uderzeniem obucha!

Jak gdyby w dowód wdzięczności za tę pieszczotę, zwierzę podniosło na chłopca łagodne oczy i lizać go zaczęło po ręku. Ale to trwało chwilkę tylko... błysk świadomości, który rozjaśnił był jego umysł, zgasł już teraz bezpowrotnie.

Okręt mknął chyżo w dal niezmierną... wiatr świszczał i huczał... wzmagające się ciemności zapowiadały noc burzliwą, a przy zwłokach towarzysza, które stały się teraz bezkształtną masą mięsa, zawieszonego na haku, biedny wół przeżuwał znowu z niewzruszonym spokojem. Ciasny zakres pojęć jego nie sięgał dalej... teraz o niczem nie myślał... nic nie pamiętał!

Zresztą wojska francuskie w porównaniu do kilkakrotnie pobitych wojsk austryackich nie poniosły żadnej ciężkiej porażki i dawały przeto gwarancyę, że potrafią osłonić integralność państwa niemieckiego. — Dla czegóż więc prowadzić miano w interesie Austryi wojnę o Belgię, całkiem dla sprawy niemieckiej obojętną? — Elektor moguncki, który ongi z takim przepychem ugaszczał Franciszka II i Fryderyka Wilhelma II przed wyprawą obu tych monarchów przeciw rewolucyi, objawił życzenie zawarcia ogólnego pokoju, a d. 24 października stawił wniosek na sejmie w Ratysbonie, by zawrzeć pokój z Rzecząpospolitą francuską na zasadzie, „uti posidetis“. Prusy usilnie starały się poprzeć wniosek elektora mogunckiego i niejako umocnić go propozycyą uczynienia Fryderyka Wilhelma II pośrednikiem tego pokoju. Projekt się udał. W grudniu wniosek przyjęto, wyrażając życzenie, żeby i cesarz do jego urzeczywistnienia przyszedł w pomoc Prusom. Ze strony dworu berlińskiego był to krok wielce dyplomatyczny, dzięki któremu układy z Francyą wypadły korzystnie dla interesów państwa.

Całe Niemcy z niekłamaną radością przyjęły uchwałę sejmu ratysbońskiego. W miesiącach listopadzie i grudniu major pruski Meyerinck i sekretarz legacyjny Harnier z Bazylei rozpoczęli układy z posłem francuskim, mądrym i szlachetnym Barthélemy. Jednakże nie doszli do stanowczych rezultatów, gdyż nastąpiła zmiana stosunków, mających stanowić o dalszem położeniu Europy. — Thugut tryumfował. Carowa Katarzyna II, pominąwszy zupełnie zezwolenie Prus, zawarła d. 3 stycznia r. 1795 ugodę z Austryą, na mocy której wszystkie trzy mocarstwa przystąpić miały do ostatecznego rozbioru Polski. W razie, gdyby Prusy z przypadłej im części, która rzeczywiście nie była korzystną dla ich interesów i całkiem żądaniom ich nie odpowiadała, zadowolone nie były — obydwa cesarskie dwory związać się miały przeciw nim, jako przeciw „wspólnemu nieprzyjacielowi“ formalnem przymierzem.

Lecz niedość było jednej grabieży. — Rosya jęła namawiać Austryę, by szukała indemnizacyi strat, poniesionych w wojnie francuskiej, w okupacyi republiki weneckiej. I te same mocarstwa, które ongi wśród szumnych frazesów zapowiadały krucyatę w imię prawa, sprawiedliwości i legitymizmu, postanowiły teraz bez żadnych skrupułów zagrabić jedno z najspokojniejszych, najstarszych, najbardziej prawowitych i zasłużonych państw europejskich. Podobny egoizm słuszną odebrał chłostę od wojsk rewolucyonistów i Napoleona I.

Namowy Rosyi miały ten cel na względzie, żeby Austryę usunąć od zachodu tj. od niemieckich i niderlandzkich prowincyi, a natomiast wyprzeć ją na słowiański wschód i włoskie południe. W danym razie w cesarstwie, gdzie Niemcy stanowiliby tylko jednę czwartę ludności, mowy być nie mogło o państwie niemieckiem o li tylko niemieckim charakterze.

Niebawem cesarz Franciszek odmowną dał odpowiedź na propozycyę sejmu ratysbońskiego. Przekonały się zatem Prusy, iż przymierze rosyjsko-austryackie zmusza je do jak najprędszego zawarcia pokoju z Francyą, jako też miały jawny dowód w odpowiedzi cesarskiej, że pokój ten zawrzeć im trzeba bez współudziału Austryi. — We Francyi większa część narodu, a z nim stronnictwo umiarkowane, stojące chwilowo u steru rządu, nauczone doświadczeniem, iż walk zewnętrznych na równi z wewnętrznemi zamieszkami lekceważyć nie można, popierało również myśl ukończenia wojny.

W początkach stycznia r. 1795 udał się sekretarz legacyjny Harnier, na zaproszenie komitetu „Zbawienia publicznego“ na poufne posiedzenie do Paryża, gdzie wspólnie obradować miano nad interesami Francyi i Prus. Równocześnie wojska francuzkie, dzięki nieudolności angielsko-orańskich dowódzców, których armia całkowitemu uległa rozprzężeniu i dzięki energicznej agitacyi partyi republikańskiej w Holandyi, cieszyły się wielkiem powodzeniem. Okoliczność ta niekorzystnie wpłynęła na utworzenie się dzieła pokoju. — Niebawem rewolucyoniści dotarli do samych krańców północnej Holandyi i prawie bez oporu zdobyli całe terytoryum zjednoczonych prowincyi. Przez odniesione zwycięstwo potęga militarna francuzka zyskała na sile w Niemczech północnych, w samej zaś republice przechyliła szalę zwycięztwa na korzyść żywiołów radykalnych. Dwie te okoliczności sprawiły, iż komitet „zbawienia publicznego“ zupełnie wbrew wygłaszanym teoryom bezinteresowności, zażądał na zasadzie „naturalnych granic“ odstąpienia lewego brzegu Renu. — Jednakże do tyle okazał się wspaniałomyślnym, iż przyrzekł Prusom indemnizacyę kosztem innych państw niemieckich, a nawet związał się z niemi formalnem przymierzem, mającem na celu postawienie Prus na czele północnych Niemiec.

Dla wytrawnego i myślącego polityka przedstawiało się teraz podwójne pole działania. Albo, odwołując się do honoru innych państw i ich obietnic nie odstąpić lewego brzega Renu i przez energiczne prowadzenie wojny zmusić Francuzów, istotnie potrzebujących pokoju, do ustępstw, lub też przyjąć propozycye, stawiane przez Francyę, t. j. zrzec się lewego brzegu Renu, a natomiast związawszy się przymierzem z republiką, objąć panowanie nad północnemi Niemcami. — Z pomiędzy ministrów pruskich podeszły w latach Finkenstein był zwolennikiem pierwszej taktyki dyplomatycznej — zwolennikiem drugiej był Alvensleben, który słusznie zwracając uwagę na opłakane stosunki finansowe Prus, jako też na jawną nieprzyjaźń dwóch mocarstw, orzekł, iż dalsze prowadzenie wojny jest wprost rzeczą niemożliwą. — Jednakże król Fryderyk Wilhelm, w sposób właściwy naturom słabym i chwiejnym chciał mieć koniecznie ze wszech stron drogę otwartą, i za radą hr. Haugwitza chwycił się „złotego środka“, mającego pogodzić korzyść z honorem. W samej rzeczy obrał sobie dwie taktyki naraz, gdyż ani nie chciał zezwolić na przymierze z Francyą, ani odstąpić lewego brzegu Renu przed uchwałą sejmową. — Taką była stanowcza decyzya monarchy, który nigdy nie myślał i nie działał na seryo. Serce pchało go w stronę niemieckich sprzymierzeńców, — polityka w stronę Francyi; — nie chciał związać się żadnem przymierzem, a mimo to wziąć udział w zdobyczach Polski. — Lecz ani król, ani Haugwitz nie zastanowili się nad tem, że zdając na łaskę sejmu ratysbońskiego rozstrzygnięcie kwestyi posiadłości nadreńskich, kwestyi, mającej stanowić o przyszłości środkowej Europy, zrzekały się Prusy swego stanowiska jako „mocarstwa europejskiego“. *H. S.*

(Dokończenie nastąpi.)

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Dyscyplina w szkołach pruskich.

Prócz częstych a monotonnych wywodów o niedostatkach szkół elementarnych, których treść jednostajną stanowi twierdzenie, że religijne uczucia dzieci katolickich niedość są uwzględniane, wskutek czego dzieci te socyalistami w przyszłości zostać mogą — czytamy nieraz w dziennikach poznańskich krótkie i suche doniesienia o faktach wielce charakterystycznych, rzucających ponure światło na stan naszego szkolnictwa.

Oto jeden z nich:

„Przed izbą karną w Inowrocławiu toczył się dnia 18 b. m. ciekawy proces przeciw nauczycielowi Braunowi z Minutowejwsi o przekroczenie prawa o karaniu dzieci. Oskarżony miał wydrzeć pewnemu uczniowi pęk włosów za to, że nie mógł się nauczyć tabliczki mnożenia. Na stole złożono jako corpus delicti ów wydarty pęk włosów, a oskarżony istotnie przyznał, że one pochodzą z głowy ucznia. Powołani jako świadkowie komisarz obwodowy Gottschalk i sołtys miejscowy nie wystawili nauczycielowi dobrego świadectwa. Sołtys zeznawał, że w jego gminie panują nieznośne stosunki z powodu postępowania nauczyciela, że często już zanoszono na niego skargi za katowanie dzieci. Oskarżony wystąpił przeciw świadkowi w tak nieprzyzwoity sposób, że przewodniczący sądu powołał go do porządku. Słuchano 5 dzieci, wszystkie zeznały na niekorzyć nauczyciela. Jako łagodzącą okoliczność przyjęto, że nauczyciel jest nerwowym i leczył się kilka miesięcy u wód na nerwy. Prokurator starał się wykazać, na jakie szykany wystawieni są nauczyciele, mianowicie na wsi. Ze względu na liche wyposażenie nauczycieli na wsi wniósł prokurator o nałożenie na nauczyciela Brauna za pobicie ucznia, które zostało stwierdzone, 10 marek kary. Sąd skazał go tylko na 5 marek.“

Fakt ten nie jest odosobnionym ani wyjątkowym. Dla bardzo zrozumiałych przyczyn procesy o nadużycie kar cielesnych w szkole są stosunkowo rzadkie, lecz natomiast niezmiernie częstemi są wypadki, które do takich procesów słusznych powodów dostarczyćby mogły. Dyscyplina, linia lub trzcinka są w naszych ludowych szkółkach tak pospolicie używanym środkiem wychowawczym, że dzieci do nich uczęszczające wprost nie umieją sobie wyobrazić nauki bez bicia. Jakkolwiek żaden pedagog nie przyzna, aby środki te na rozwój umysłu dodatnio odziaływać mogły, to i w tym kierunku zły zwyczaj nauczycieli wywołuje złe nawyknienia uczniów i sprawia, że po pewnym czasie niepodobna prawie jaką taką utrzymać między nimi karność, nie dzierżąc w ręku jakiegokolwiek narzędzia wymiaru sprawiedliwości.

Nadużycia kar cielesnych w szkole spowodowały jednego z posłów naszych, p. L. Czarlińskiego do poruszenia tej kwestyi w izbie poselskiej. — Odpowiedź ministra oświaty była zupełnie ogólnikową i wcale niezadawalniającą, mimo to poprzestano na niej i wśród nader obszernych rozpraw nad etatem ministerstwa oświaty sprawa tak ważna poruszoną po raz drugi nie została. A jednak owo bicie i poniewieranie dzieci, powtarzające się nieustannie, będące na porządku dziennym, stanowiące już dziś jeden z ustalonych szkolnych zwyczajów — to czarna plama na jasnem tle tylekroć wysławianej niemieckiej kultury, to uprawnione barbarzyństwo, na które każde serce uczciwe z oburzeniem zadrżeć powinno, a na które my z kamienną spoglądamy obojętnością.

Jakkolwiek jest to ideałem, do którego dąży współczesna pedagogia, sądzę, że absolutne usunięcie kar cielesnych z wychowania choć może nie jest niewykonalnem, jest dość trudnem i nigdzie pewnie w zupełności jeszcze osiągnąć się nie dało. Przypuszczam też, że niema jeszcze obecnie dziecka, któreby się zupełnie bez klapsów było wychowało, ale te, które ich zbyt często nie dostawały, żadnej też nie poniosły szkody. — Sądzę również, że w miarę postępu wychowawczych metod doskonalić się również musi system kar i nagród, dążąc nieustannie do zastąpienia kar cielesnych innemi działającemi na wolę uczniów w sposób szlachetniejszy niż przez postrach i ból fizyczny. Co zaś jest już rzeczą wprost oburzającą w końcu 19-go wieku, to bicie uczniów za naukę jak w powyżej cytowanym wypadku: za niemożność nauczenia się tabliczki mnożenia. Jeśli się dziecko czegoś nauczyć nie może, to przyczyna leży albo w nieumiejętności nauczyciela, albo w wadliwości metody, albo w braku zdolności ucznia, a przyznamy, że żadna z tych przyczyn na odpowiedzialność dzieci spadać nie powinna. Jeśli nauczyciel skarży się na nieuwagę uczniów lub brak zainteresowania się lekcyą, to w większości wypadków sam siebie oskarża. Do niego bowiem należy tak pokierować wykładem, aby umysły dziecinne obudzić, zainteresować i do pracy zachęcić.

Żadne dziecko nie rodzi się z zamiłowaniem do nauki, najmniej zaś możnaby się tego spodziewać po dzieciach klas niższych, w których skłonność i upodobanie do pracy umysłowej dziedzicznie przekazywać się nie mogą.

Mogą się one obudzić w każdem umysłowo

nieupośledzonem i przez fałszywe wychowanie nie zepsutem dziecku, jeśli się dziecko to pod umiejętny kierunek dostanie. Jeśli zaś uczy się ze strachu, pod nieustanną grozą, — kijem lub trzciną do książki napędzane, wówczas może się czasem czegoś mechanicznie nauczyć, lecz nie może nauki polubić, ani jej zrozumieć. Otóż w tylokrotnie sławionych szkołach niemieckich (mówię tu o szkołach elementarnych) nauka bywa na wielką skalę mechanicznie wdrażaną za pomocą trzcinki lub rózgi — a, jak widzimy z przytoczonego przez nas przykładu, — czasami dobierają się nauczyciele do głów swych uczniów własnoręcznie i bynajmniej nie w przenośnem znaczeniu.

O umiejętnym wykładzie, o jasnem, przystępnem i zajmującem objaśnieniu lekcyi w bardzo wielu szkółkach i mowy nawet nie ma. Z zamiłowania i z zawodu poświęcając się pedagogii interesowałam się zawsze tą sprawą i niejednokrotnie zapytywałam dzieci o to, czego się uczą w szkołach. Nigdy na zapytania moje nie odebrałam objaśniającej odpowiedzi. Dzieci umiały przytoczyć czasem powtarzane w klasie wyrazy, nigdy jednak nie umiały ani po polsku, ani po niemiecku określić tego, co było przedmiotem nauki. Pytałam n. p. niedawno dość roztropnego chłopca, jak daleko jest posuniętym w rachunkach — gdy na to pytanie nie mógł odpowiedzieć, zapytałam go, jakie zadania w szkole odrabia, prosząc, aby choć jedno jakiekolwiek na przykład przytoczył. I tu jednakże nie dowiedziałam się niczego więcej, jak tylko, że nauczyciel zadanie na tablicy pisze, potem czyta książkę, a dzieci same rachują. Resztę dośpiewałam w swej duszy: oto po przeczytaniu książki nauczyciel ogląda kajety resp. tabliczki, i za złe zadania wymierza klapsy, wskutek czego mniej zdolni a ostrożniejsi uczniowie spieszą się przepisać zadania, wykonane przez zdolniejszych, nim nauczyciel czytać przestanie. Tym sposobem unikają klapsów i z kilkudziesięciu dzieci zasiadających w klasie postępy robi, tylko tych kilka, które się nadzwyczajną bystrością odznaczają. Nie twierdzę, aby to była reguła bez wyjątków, — nie znam wszystkich nauczycieli elementarnych w Księstwie, przypuszczam więc, że między nimi jest kilku pedagogów z bożej łaski, którzy mimo napotykanych na swej drodze trudności usiłują i zdołają rozciągnąć nad umysłami dzieci opiekę, której one od wychowawców wymagać mają prawo. — Że jednakże trudności są wielkie, a bohaterów w świecie nauczycielskim mało, więc szkoła — w większości wypadków — staje się dla dzieci znienawidzonem miejscem codziennych i nieuchronnych utrapień.

Czy nauczycieli winić za to należy?

Tak i nie. — Tak, jeśli nie wnikniemy w rzeczy głębiej i trzymać się będziemy najbliższych, bezpośrednich przyczyn, gdyż obowiązkiem nauczyciela jest dziecko zainteresować nauką i do szkoły je przywiązać. — Nie, jeśli sięgniemy do przyczyn dalszych i uwzględnimy, że w naszych stosunkach spełnienie tego obowiązku jest nieomal niemożliwością.

Bo i jakże ciężkiem jest zadanie nauczyciela!

Znajduje się on w klasie wobec kilkudziesięciu dzieci nie mających ani początkowego wychowania, ani przygotowania umysłowego i zmuszony jest uczyć je, kształcić, rozwijać, wiadomościami zbogacać, choć zrozumiałym dla nich językiem mówić nie może, a często i nie umie. — Gdyby nauczyciel był Polakiem, polska szkoła i język wykładowy — to i tak zniżenie się do umysłów prostych, ciemnych i dziecinnych, dobieranie jak najjaśniejszych, jak najzrozumialszych dla nich zwrotów i zdań, rozbudzenie ich ciekawości, utrzymanie uwagi byłoby pracą ciężką, wielkiego wysiłku umysłu i nakładu energii wymagającą. Wiedzą o tem wszyscy, którzy się nauczaniem trudnili, a zwłaszcza nauczaniem wielkiej ilości małych i z nieinteligentnych sfer pochodzących dzieci. — Praca taka, jak wogóle praca nauczycielska zużywa człowieka, wyczerpuje jego nerwy, osłabia umysł i postarza przedwcześnie. — Gdy jednak do zwykłych trudności nauczycielskiego zawodu przybywa jedna jeszcze i to tak wielka, tak niezwyciężona prawie, nieomal śmieszności staje się żądanie, aby nauczyciel zadawalniająco ją wykonał i zadaniu swemu w sposób odpowiadający dzisiejszym pedagogicznym pojęciom sprostał. Czyż wobec tego dziwić się można, że jest on zdenerwowany i „u wód na nerwy leczyć się musi?“ Jestto zapewne okoliczność, która słusznie na złagodzenie sądu o jego postępkach wpływa, która go jednak czyni niezdolnym do pełnienia nauczycielskich funkcyi. P. Braun wyjeżdżał do wód, a jednak pomimo kuracyi po powrocie uczniowi włosy z głowy wydzierał. Nie możnaby się dziwić, gdyby nawet wskutek nadmiaru ciężkiej i bezowocnej pracy jego rozstrój nerwowy przeszedł w obłęd chroniczny, czy jednak człowiek rozstrojony nerwowo odpowiednim jest kierownikiem dla umysłów i charakterów dziecinnych? — Nauczyciela usprawiedliwiać można, lecz w takich warunkach powierzać mu dzieci jest zbrodnią. — Gdyby wyroki sądów były wyrazem sprawiedliwości wyższej, a nie wynikiem paragrafów martwych — sąd inowrocławski możeby surowszej nie nałożył kary, może nawet zwolniłby od niej pana B. zupełnie, lecz bezwarunkowo nie pozwoliłby mu napowrót objąć obowiązków nauczyciela i to w tejże wsi, w której zaszedł ów nieszczęsny wypadek.

Wyobraźmy sobie bowiem położenie rzeczy w szkole, po ogłoszonym wyroku. Zdenerwowany nauczyciel wraca do klasy i widzi w ławkach dzieci, które przeciw niemu przed sądem świadczyły, lub których rodzice niekorzystne o nim wydali świadectwo. — Dzieci te zdane są na łaskę i niełaskę zirytowanego nauczyciela, który nie ma dostatecznych powodów, by nad swemi nerwami wobec nich panować. — Strona skarżąca nie zyskała nic — oskarżony nie wiele stracił, a na całym procesie ucierpią najwięcej ci, którym bez kontroli i bez wyroku razy wymierzać wolno.

W takiem położeniu są wszystkie dzieci nasze, a choć w parlamencie i sejmie większość zapewne ojcowie rodzin stanowią, choć między dziennikarzami i korespondentami do gazet znajdują się ludzie mający ojcowskie dla młodziutkich pokoleń uczucia — milczeniem przyjmuje się fakt, że całe zastępy naszych chłopców i dziewcząteк codziennie przez kilka godzin drżą ze strachu na widok linii lub trzcinki.

Wobec tego faktu milczymy, ale szeroko i długo zastanawiamy się nad tem, czy te nieszczęsne malcy socyalistami nie zostaną! A cóż, gdyby się stały kalekami, idyotami, gdyby ciągły strach zrodził w ich duszach podłość, ciągle ukrywany wstręt — nienawiść i mściwość?

To, że niecny system szkolny krzywi, paczy, kaleczy umysły i charaktery, że zdolności tępieją, że zarody szlachetnych uczuć idą na marne, to nam jest obojętne; my obawiamy się tylko przewrotu — bo — bądźmy nareszcie szczerzy — nie o dzieci polskie, nie o ich rozwój i szczęście — nie o szkołę — lecz o nasze własne bezpieczeństwo nam chodzi.

Dzieci żadnej nie doznają od społeczeństwa opieki, nie mają wśród nas przyjaciół ani życzliwych. — Gdybyśmy o dobro ich dbali, podstawą naszych interpelacyi i zarzutów, byłoby słuszne, naturalne, konieczne żądanie, by każdy nauczyciel elementarny z uczniami swemi porozumieć się mógł bez pomocy laski i trzciny. — Dla tego też wymagać mamy prawo, jeśli nie wolno nam marzyć o polskim w szkołach ludowych wykładzie, by 1) nauczyciel dzieci polskich po polsku mówić umiał, 2) by przynajmniej w niższych oddziałach dzieciom, które niemieckiego języka sobie nie przyswoiły, po polsku objaśnień udzielał, 3) by tylko wyjątkowo za grubsze wykroczenia wolno było karać dzieci cieleśnie, nigdy zaś za niemożność nauczenia się lekcyi, bo kara wymierzana w takich razach jest tylko zemstą nauczyciela za jego własne niedołęztwo.

I. Moszczeńska.



Władysław Jażdżewski.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Wielkopolska straciła znów jednego z przedstawicieli tej starszej generacyi, która nie zamknięta w ciasnym kole zawodowych zajęć krzątała się pilnie około rozbudzenia naukowego życia na jałowej ziemi poznańskiej. Władysław Jażdżewski urodził się 29 sierpnia 1835 roku w Poznaniu. Tam ukończywszy studya przygotowawcze w gimnazyum Św. Maryi Magdaleny, udał się na uniwersytet berliński i wrocławski, gdzie poświęcił się nauce prawa i w r. 1862 patent asesorski uzyskał. Po dziesięcioletniej tułaczce w niemieckich miasteczkach Bleichrode i Nordhausen, gdzie w charakterze adwokata i notaryusza na chleb zarabiał, i po odbyciu dwóch kampanii wojennych w 1866 i 1870-71 roku, uzyskał wreszcie upragnioną translokacyą do Poznania i wkrótce w rodzinnem tem mieście rozwinął energiczną działalność obywatelską i naukową. Władysław Jażdżewski w młodych już latach z zamiłowaniem trudnił się archeologią, gromadząc za grosz zaoszczędzony obfite i cenne zbiory z zakresu numizmatyki. Za jego inicyatywą zawiązała się w r. 1885 sekcya archeologiczna w Tow. Przyjaciół Nauk, a wysadzona z tej sekcyi komisya rozpoczęła niebawem wydawnictwo „Zapisków archeologicznych“.

Naukowe to czasopismo redagowane przez Władysława Jażdżewskiego, radzcę dr. Koehlera, dr. B. Erzepkiego i dr. K. Szulca ukazało się tylko w 5 zeszytach zaopatrzonych w litografowane tablice, ale, mimo krótkiej egzystencyi swojej, zasłużyło się dobrze publikacyą wielu ciekawych przyczynków z zakresu archeologii. Z prac Władysława Jażdżewskiego, umieszczonych w „Zapiskach“, wymieniamy:

Zeszyt I. a) Kluczewo, powiat szamotulski. b) Szeląg pod Poznaniem.

Zeszyt II. a) Bytkowo, powiat poznański. b) Sulmierzyce, powiat odolanowski. c) Gród w Trzeku, powiat średzki. d) Wykopalisko monet średniowiecznych z pod Szeląga pod Poznaniem.

Zeszyt III. a) Wyspa na Lednicy, pow. gnieźnieński. b) Zapinki z dwoma i trzema wałkami z pod Kalisza. c) Szczątki fibul Italskich, znalezionych w Gorszewicach, w powiecie szamotulskim. d) Siekierka żelazna z Biezdrowa, pow. szamotulski.

Zeszyt V. Wykopaliska denarów z wieku X—XI w Poznańskiem.

Oprócz rozpraw powyższych ogłosił ś. p. Władysław Jażdżewski cenną pracę w języku polskim i niemieckim pt.: „Wykopaliska jarocińskie a mianowicie monety Bolesławów czeskich. Poznań 1879 r.“, a na posiedzeniach Tow. Przyj. Nauk odczytał kilka ciekawych dysertacyi, z których zasługują na wyczczególnienie następujące: a) O paleniu ciał umarłych u Słowian północnych i zachodnich w wieku VI po Chr. i następnych aż do zaprowadzenia chrześcijaństwa. b) Opis złotych przedmiotów z czasów przedhistorycznych. c) O autentyczności wykopalisk mnikowskich. d) O charakterze wykopalisk po prawym brzegu Wisły. e) O monetach Bezbraima, także Ottonem zwanego, syna Bolesława Chrobrego.

Wszystkie prace ś. p. Władysława Jażdżewskiego odznaczały się wielką ścisłością i wiedzą, jednając mu uznanie takich powag naukowych jak Dannenberg i Menadier, z któremi go ściśle łączyły stosunki. Zważyć zresztą wypada, że przed Jażdżewskim archeologia wielkopolska odłogiem leżała, bo z obfitej tej skarbnicy czerpali zaledwie doryweczo Feldmanowski, Albin Kohn, ks. kan. Dydyński i zasłużony a pó-

źniejszemi pracami dobrze zapisany w literaturze dr. Koehler. Jaździewski jednak pierwszy gorliwością swoją dał pohop do głębszych i szerszych badań, powołując do życia sekcyę archeologiczną, zamienioną później w wydział archeologiczny Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

To też, gdy choroba nieuleczalna przed kilku laty położyła kres naukowej działalności śp. Wł. Jażdzewskiego, towarzysze jego pracy podjęli znowu, aczkolwiek w innej formie, dawne wydawnictwo. Po zgonie „Zapisków“ ukazał się pod sumienną redakcyą dr. Koehlera i dr. Erzepkiego: „Album przedhistorycznych zbiorów Tow. Przyj. Nauk“. Pierwszy zeszyt tego pomnikowego wydawnictwa, redagowanego w języku polskim i niemieckim, zyskał sobie głębokie uznanie świata naukowego, a drugi zeszyt, który obecnie jest w biegu, utrwali niezawodnie korzystną opinię o archeologicznych bogactwach polskich prowincyi i badaniach naszych w tej tak długo odłogiem leżącej dziedzinie. Dodać tu jeszcze wypada, że „Zapiski“ ukazały się również w języku niemieckim w przekładzie i nakładzie Wł. Jażdzewskiego. Niezmordowany ten archeolog bowiem posiadał ambicyę olśniewania obcych narodów bogactwami wielkopolskiej archeologii, a nadto przez całe życie walczył z opinią, rozsiewaną przez Niemców, że Słowianie dopiero w wieku V do dzielnic naszych przybyli i wyparli Niemców tu bytujących.

Na zakończenie tego krótkiego szkicu naukowej działalności ś. p. Władysława Jażdzewskiego podnieść należy, że pisywał jeszcze to i owo w „Wiadomościach archeologicznych“ T. Ziemięckiego i kilku czasopismach niemieckich.

Szkoda człowieka! Zdziałał wiele, a plon pracy byłby niewątpliwie obfitszy, gdyby ciężka choroba od lat kilku nie toczyła organizmu jego. Pozostawił prześliczne zbiory zabytków archeologicznych a mianowicie monet, które prawdopodobnie w drodze darowizny lub kupna przejdą na własność Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Władysław Matlakowski.

(Wspomnienie pozgonne.)

Nie wszystkie żałobne karty są dla pozostałych przy życiu istotnie żałobne. Dla wielu nieboszczyków mamy zdawkowy smutek, mamy płytkie westchnienia, które nie płyną z serca, mamy sztucznie złożone wyrazy, mamy konwencyonalne kiry. O tę nieszczerość nie należy podejrzywać smutku, jaki w szerokich kołach polskiego społeczeństwa obudziła śmierć dr. Władysława Matlakowskiego. Że był znakomitym chirurgiem — to jeszcze nie cały powód do żalu; że był utalentowanym pisarzem — to również jeszcze nie wyczerpuje całej jego wartości. Bo obok tych sił i zalet był zacnym człowiekiem, był duszą czystą, niezmiernie czułą, tak czułą, że aż nienaturalną w zawodzie, który niemal wymaga chłodu i bezwrażliwości. Natura dziwnie czasem łączy przeciwieństwa, które powinnyby wyłączyć się wzajemnie. Chirurg, a więc, zdawałoby się, człowiek, posiadający niższą temperaturę krwi, grubsze nerwy, objawia zapał wybuchliwy, wrażliwość subtelną, upodobania artystyczne, prezyę w swych myślach i uczuciach. Takim był Matlakowski.

Do grobu jeszcze za młody, ale dla życia już za słaby, dotknięty chorobą piersiową od lat kilku przestał pracować i dogasał w Zakopanem i innych miejscach leczniczych. Odcięty od pola właściwej swej pracy, zajmował się studyami nad budownictwem tatrzańskiem, Shakespearem itd. Wydał nawet książkę o stylu zakopańskim, która może grzeszy nadmiarem uwielbienia dla przedmiotu, ale zarazem świadczy o wielkiej przenikliwości i gruntowności umysłu. Ocena głównej lekarskiej działalności zmarłego nie do nas należy. Jakikolwiek wszakże wypadnie sąd nauki o chirurgu i pisarzu, tylko szczery żal odezwie się o człowieku.

KRONIKA GALICYJSKA.

(Arystokracya żyje i działa. — Wyścigi. — Cykliści. — Oświata ludu. — Nekrolog „Świata“.

Przez parę ubiegłych tygodni arystokracya nasza wysunęła się na pierwszy plan działalności publicznej, a wysunięcie się to było tak potężnem, iż dzienniki wszelkich odcieni (może z małym wyjątkiem) notowały skwapliwie czyny senatorskich potomków. Okazyą do tych czynów były wyścigi krakowskie i lwowskie, które w Krakowie trwały od 20-go do 23-go, a we Lwowie od 26-go do 30-go czerwca. „Zwycięstwo (pisał jeden z dzienników) i powodzenie stajni Tarnowskich z Chorzelowa wywoływały wrażenie piorunujące“. „Wygrana Antipiryny Baworowskiego (pisał inny dziennik, a powtarzam go dosłownie) przemówiła żywo do uczuć narodowych“. Do tychże uczuć przemówiły i Satanella Józefa Potockiego i „Myown“ Stanisława Siemieńskiego, a co się tyczy Aldony hr. Brzozowskiego, to ta od razu wykopała nogami swemi grób dla sławy Aldony mickiewiczowskiej. Oprócz tych czynów, których wyliczenie zupełne przekroczyłoby ramy mej korespondencyi, arystokracya nasza dała jeszcze inne dowody zrozumienia swego stanowiska. Hr. Roman Potocki dał trzy wielkie obiady w Grand hotelu krakowskim, hr. Stanisław Tarnowski podejmował przybyłych świetnym rautem, ks. ks. Radziwiłłowie urządzili wspaniałe przyjęcie z iluminacyą parku w Balicach. O tem ostatniem przyjęciu wspominają dzienniki konserwatywne z polotem poetycznym i z zapałem trudnym do opisania. Oto szczypta kadzideł „Czasu“: „Gdy świtać poczęło, ogród rosą skąpany jak senne wyglądał marzenie, a różowemi blaskami jutrzenki oświecony, wśród mgieł porannych wynurzał się w oddali Kraków, strzelając igłami swych wieżyc niby zaklęte miasto z fal jeziora Świtezi. Cudnem było to zakończenie krótkiego krakowskiego sezonu wyścigowego... przekonało ono nawet wybrednych cudzoziemców, że i u nas są godne zachodniej Europy wiejskie siedziby, i że gościnność w nich litewska, hiszpańskim urokiem otoczona, zagraniczne przyjęcia w niejednem przewyższyć zdoła“. Prowadzeniem tańców zasłynęli hr. Ksawery Orłowski, hr. Adam Zamoyski, pan Jan Gorajski. Nie wiem, czy się odznaczył, ale brał udział w tym karnawale i hr. August Potocki, który, jak donoszą dzienniki, sprzedaje obecnie dobrowolnie wielkie swe dobra na Litwie Moskalom. We Lwowie cudzoziemcy i niecudzoziemcy zachwyceni znów byli czwórką hr. Lewickiego-Siemieńskiego, potomka dwóch wielkich zapewne rodów, ale których czynów przez zapomnienie nie napisała historya. Wreszcie w zjeździe cyklistów krajowych i zagranicznych w Krakowie odegrał wybitną rolę prezes klubu krakowskiego hr. Mycielski.

Swoją drogą ten zjazd cyklistów nie był właściwie tworem arystokracyi lecz demokracyi, której szlachetna ambicya podrażnioną została zwycięstwami i sławą kopyt końskich arystokratycznego pochodzenia. Kraków zaszczycony został pobytem w swych murach najbieglejszych mistrzów w sztuce szybkiego przebierania nogami. Taki zjazd podnosi ducha, uczy i oświeca. Człowiek ma sposobność poznać wiele znakomitych osobistości i zapamiętać ich nazwiska, przez co naturalnie ogół cywilizuje się i bierze choć pośredni udział w postępie europejskim. Ze wstydem przyznam się, że nie wiedziałem n. p. nic o istnieniu p. Beyschlaga, dopóki nie przeczytałem w jednym z dzienników, iż „nawet taki Beyschlag“ raczył przybyć do Krakowa. Przybyli także p. Mahner, kapitan jazdy niemieckiego związku cyklistów, p. Gebauer i Hausdorf z Katowic, panowie Küchler i Scheiber z Wiednia, a z Warszawy panowie Neuding, Fertner, Lepert oraz inni, równie po polsku brzmiących nazwisk cykliści. Naturalnie, iż główne nagrody pobrali tacy Beyschlagi i Hausdorfy; dzienniki rozpisują się nad tym zjazdem, poświęcają mu całe łamy, twierdzą, iż „mieszkańcy Krakowa z biciem serca oczekiwali na corso cyklistów“, że „klub krakowski za ten zjazd pozyskał sobie trwałą sympatyę wszystkich mieszkańców“. I nie o cyklistów im też chodzi, kiedy piszą o nich, lecz o nasze dziennikarstwo, które z lekkiem sumieniem obałamuca opinię publiczną. Wolno ludziom bawić się według woli, wolno zbierać marki pocztowe, wolno założyć klub puszczających bańki mydlane, wolno założyć stowarzyszenie grających na drumli, wolno też jeździć na bicyklach i rowerach i urządzać sobie na nich wyścigi. Ale co ogół, co społeczeństwo obchodzić mogą takie zabawki, ażeby traktować na seryo i rozgłaszać światu najdrobniejsze szczegóły takich zabawek i nazwiska nieciekawych ich bohaterów. O pracy głów i umysłów, nieraz nawet genialnych, piszą się w dziennikach naszych suche wzmianki (i to jeżeli się piszą), a o dziecinnym sporcie, uprawianym prawie bez wyjątku przez ludzi słabych umysłowo a silnych tylko w nogach, drukują się całe artykuły i feljetony. Rower ma znaczenie bez wątpienia jako środek komunikacyjny i temu jego praktycznemu znaczeniu nikt nie zaprzeczy, ale sport rowerowy to czysty dziwoląg, a co najwyżej zabawka, na którą pobłażliwie spoglądać można, ale której nie należy reklamować, zwłaszcza w społeczeństwie, mającem tysiące ważniejszych zadań, niż imponowanie suchemi łydkami, pajacowatemi ubiorami i świecącemi blaszkami, które pokrywają piersi nożnych znakomitości.

Gdybyż to dziennikarstwo nasze popierało choć w połowie tak jak cyklistów sprawy ważne, uczciwe, mające często związek najbliższy z naszą narodową przyszłością. Ale gdzietam! Oto na ostatniem walnem zebraniu Towarzystwa oświaty ludowej skarżył się publicznie Komitet, że ze strony dziennikarstwa nie otrzymuje żadnego poparcia — a przecież oświata ludu to opoka, na której ma stanąć kościół naszego narodowego bytu, naszego odrodzenia się, zmartwychwstania. Nic dziwnego, że przy braku poparcia Towarzystwo chyli się ku upadkowi. Każdy może być jego członkiem, kto złoży na cały rok składkę w kwocie 1 złr. — a wstyd powiedzieć, że w całej Galicyi znajduje się zaledwie siedmiuset ludzi, poczuwających się do tego obowiązku, do złożenia tej maleńkiej wkładki, nie obarczającej nawet ludzi biednych. Cyklistów mamy w Galicyi z pewnością kilkanaście tysięcy, na wyścigi szkap wyrzucamy corocznie z pół miliona. ale na poparcie oświaty ludowej pieniędzy nam brakuje. Galicya ma 7 milionów mieszkańców, a więc zaledwie jeden na dziesięć tysięcy jest członkiem Towarzystwa oświaty ludowej. Niczyja to wina, tylko dziennikarstwa. Ono pochwalając i reklamując zbytki. zabawy i błazeństwa, a milcząc o wielce ważnych sprawach (nie mówię już o macoszem traktowaniu literatury i sztuki) przygotowuje grunt do tych niezdrowych stosunków, wpływa na społeczeństwo ujemnie w całem znaczeniu tego słowa.

Wspomniałem o literaturze, a więc wypada napisać nekrolog „Światowi“. Nekrolog ten, to wyborna ilustracya naszych stosunków. Entuzyazmujemy się dla koni i Beyschlagów, a nie możemy utrzymać jednego pisma poświęconego literaturze i sztuce. Nie mówię już o ciągle pojawiających się efemerydach, które po kilkunastu numerach znikają z powierzchni, ale były przecież poważne usiłowania, aby choć jedno pismo literackie wychodziło na ziemi galicyjskiej. Zdawałoby się, że nawet sprzyjają temu warunki, wszystkie bowiem pisma literackie warszawskie, jako wychodzące pod obuchem cenzury, musiałyby w Galicyi ustąpić pierwszeństwa pismu miejscowemu, niczem nieskrępowanemu, mogącego poruszać sprawy narodowego znaczenia, swobodnie rozprawiać o patryotycznych celach i zadaniach, traktującemu wreszcie z natury rzeczy kwestye bliżej obchodzące naszą prowincyę, nasz ruch literacki, naukowy i artystyczny. Przed 20-tu laty założył J. Rogosz „Tydzień“; pismo ruchliwe, obszerne, zręcznie redagowane, mające dobrych współpracowników; z niego Galicya poznała Sienkiewicza, a to samo już powinno było wystarczyć, aby pismu byt zapewnić. Mimo jednak wysiłków, mimo oddania pisma Biernackiemu (Rodociowi) i Adamowi Bartoszewiczowi, którzy z nowym kapitałem do niego przystąpili, „Tydzień“ upadł po kilku latach istnienia.

Przez dwa czy przez trzy lata wychodził również mający wiele stron dobrych „Ruch literacki“, wydawany przez Gillera. Piszący te słowa przez półczwarta roku walczył, aby wydawanemu przez niego „Przeglądowi literackiemu i artystycznemu“ zjednać choć taką liczbę prenumeratorów, któraby wystarczyła li tylko na pokrycie kosztów druku i papieru. Wszystkie te usiłowania spełzły na niczem. Zdawało się iż „Świat“ jako pismo ilustrowane uczyni wyłom we wstręcie Galicyi do literatury. Wydawca jego i redaktor Sarnecki posiadał rozliczne stosunki. które mu zapewniały poparcie w tych sferach, na jakie inni wydawcy liczyć nie mogli. Niezwiązany z żadnym obozem, potrafił dokazać cudu, którym była ciągła, nieustanna, olbrzymia reklama dla pisma we wszystkich dziennikach wszelkiego odcienia. Od czasu do czasu uzyskiwał nawet małe subwencye, a w zeszłym roku zrobił swój „Świat“ organem urzędowym Wystawy krajowej. Sam przyznaje w słowie pożegnalnem, że artyści i literaci bardzo często dawali mu swoje prace całkiem bezinteresownie. Można powiedzieć, iż nie było jednej wybitniejszej osobistości literackiej lub artystycznej, której nazwiska nie spotkałoby się pod artykułami lub rysunkami „Świata“. To też było lat parę takich, w których „Świat“ miał prawo twierdzić, że nie ustępuje żadnym innym ilustrowanym naszym wydawnictwom. Dodajmy do tego, że redaktor kładł ogromny nacisk na stronę zewnętrzną wydawnictwa, że łożył na piękne okładki, dobierał najpiękniejszy papier, a nadzwyczajne dodatki artystyczne bywały często ostatnim wyrazem sztuki reprodukcyjnej. I wszystko to na nic. Najwyższa cyfra prenumeratorów dosięgła do ośmiuset, z której to wyżyny spadła na pięciuset. Wyczerpawszy wszelkie zasoby, wszelką możność prowadzenia pisma, ustąpił Sarnecki z pola, a dzieje „Świata“ nie zachęcą zapewne nikogo do dalszych prób w tym kierunku.

K. Bartoszewicz.

PROTEST*)

akademików Polaków wrocławskich.

„Wer die Wahrheit weiss und saget sie nicht,
Wahrlich, der ist ein erbärmlicher Wicht“.

Oto słowa, któremi prof. Dahn zakończył swego czasu szereg prelekcyi z filozofii prawa, zachęcając młodzież akademicką, żeby zawsze z otwartą przyłbicą stawała mężnie i śmiało w szranki, krusząc kopie za wszystko, co prawdziwe, dobre i piękne. Opowiadano sobie jakie wrażenie sprawiło to serdeczne przemówienie wtenczas na słuchaczach, którzy zwyczajem akademickim gromkiem tupaniem i frenetycznym nieomal aplausem żegnali audytoryum opuszczającego profesora.

Któż zatem, a tem mniej prof. Dahn, za złe poczyta akademikom wrocławskim polskiej narodowości, że w dniach ubiegłych stanęli zwartym szeregiem w obronie „prawdy“, — że otwarty i głośny podnieśli protest w obronie pogwałconych praw uniwersyteckich, podnosząc z godnością i rycerskościa rękawicę, rzuconą im przez kolegów Niemców. Wiedzieli oni, że „prawda“ po ich stronie, że trza było wypowiedzieć ją, chcąc uniknąć zarzutu nikczemności. Wiedzieli oni zapewne dobrze, że nie zapobiegną przez to ukonstytuowaniu się towarzystwa akademików Niemców pod sztandarem HKT., wiedzieli, że protest ten przebrzmi może jako głos na puszczy, bo „il y a de juges à Berlin“ to płonny nieraz frazes dla nas, a Themis niemiecka w podobnych razach uchyla zwykle zrąbek przepaski swej na oczach i gotowa niedoważyć, ale mimo to spełnili swój obowiązek narodowy. — Jeżeli posłowie nasi od lat tylu już powołują się na artykuł 4. konstytucyi pruskiej, opiewający, że „każdy poddany pruski wobec prawa jest równym“ — dla czegoż nie mieliby powoływać się akademicy Polacy na statuty uniwersyteckie, wykluczające wszelką politykę? — Nie dziw, że zawrzało wśród nich jak w ulu, że nie chcieli być jak owe jagnięta, które to nie śmią ani zabeczeć, czując nóż oprawcy pod gardłem.

W całej tej sprawie osoba prof. Dahna główną odgrywa rolę; on to bowiem z powagą druidy zainaugurował ów thing germański, zanosząc modły gorące, by Wuotan odwrócić chciał niebezpieczeństwo, grożące kresom wschodnim wielkiej ojczyzny zalaniem ich słowiańszczyzną, on to zwracał w przenośni łatwo zrozumiałej uwagę na pobratymczych Czechów, którzy w krótkim czasie tak silnie spotężnieli narodowo, że w Pradze li tylko czeski język rozbrzmiewa, a Niemców na ulicy po niemiecku mówiących czynne spotykają zniewagi. Niechaj się tego nie obawia szanowny profesor, żeby Polacy niezaczepieni czynne dawali dowody krewkości swej narodowej — lecz niechaj też nie zapomina, że jako Niemcy zatonąć nie chcą „w papce międzynarodowej“, tak też i Polacy nie myślą amalgamować się z innymi żywiołami, — że jak Niemcy tak też i Polacy stać będą na straży tego, co im się należy. — Zaznaczył podobno Dahn, że postępowanie ruchu antipolskiego nie jest żadnym wynikiem szowinizmu pruskiego, tylko prawem przyrodzonym. Trudno nam zaliczać prof. Dahna jako uczonego, którego zadaniem wszystkiemu nadawać system pewien logiczny, — do zwykłych podżegaczów, którzy roznamiętniwszy się przy kuflu piwa z zaciekłością wszelką wodze puszczują owemu „furor teutonicus“. Nie wchodzimy w to, czy „towarzystwo studentów niemieckich“ po trzeźwemu czy też przy piwnym stole plan ów powzięło; — dziwić się jednakże należy, że tak rektor pozwoleniem swojem na zebranie jako też prof. Dahn czynnym udziałem polityczną urządzili arenę z katedry wszechnauk.

Wiemy, kto jest tym Wuotanem, do którego gorące słał modły prof. Dahn, lecz i bogowie nie wieczni, jak niesie mitologia germańska.

Wrzał temu niedawno las saski odgłosem tysiącznych studenckich rapierów na cześć i chwałę żelaznego bożka — czy zabrzmi raz wtóry?

Przywykliśmy podziśdzień każdy objaw zajęcia się sprawami narodowemi naszemi i każde śmielsze wystąpienie w obronie ich poczytywać za czyn bohaterski, za wielkie zasługi położone około dobra ojczyzny itd. itd. — Kadzimy sobie pod nosy wonną mirą czczej adoracyi wzajemnej, nie pomni, że broniąc tego, co nasze, nie czynimy nic więcej jak nasz najświętszy obowiązek. — Wyleczmy się z choroby tej, nim stanie się chroniczną, i drogą dziedziczności przejdzie z pokolenia na pokolenie, tocząc je wrzodem próżności samolubnej.

Jakkolwiek zatem najserdeczniejszy oddźwięk w sercach polskich znalazło wystąpienie młodzieży naszej wrocławskiej, nie przyznajemy jej więcej nad to, że spełniła swój obowiązek.

Alastor.

*) Bliższe szczegóły o proteście polskich akademików przeciw studenckim Hakatystom w Wrocławiu znajdą czytelnicy w rubryce „Przegląd prasy polskiej“. Przyp. Red.

NA WYŁOMIE.

(Feljeton buduarowy. — Do szturmu! — Odkryte karty. — Rola duchowieństwa w życiu publicznem. — Zjazd kółek śpiewackich. — Nie chcemy dyktatury.)

Poruszam dzisiaj jednę z najdrażliwszych spraw prowincyi naszej. Za najlżejszem dotknięciem tej kwestyi wysuwają się wężowe języki i syczą. A czasem ukąsi ząb jadowity, czasem grom błyśnie, złamane świece padają na głowę i słowo „Mason“ huczy jak echo trąby ostatecznej. Wiem o tem wszystkiem i wolałbym na wzór buduarowych feljetonistów prowadzić perełkową gawędę na temat... no! n. p.: Co zrobić powinien On, gdy zdradza Ona? lub: czy Marynia Połaniecka jest wzorem kobiet, czy nie jest? lub wreszcie: Czy Vinicius pójdzie za Lygią, czy Lygia za Viniciusem? Cóż chcecie? Pływać po mieliznach literackich ogólników, z wymownym uśmiechem powtarzać Bourgetowskie sentencye, rozcinać najzawilsze kwestye salonowym sztyletem dowcipu, rzucać się na oślep w głębiny najpoważniejszych zagadnień i wylatywać z nich jakiemś elastycznem salto mortale, — to wdzięczna praca, rozkoszne zadanie. Tłumy żonglerowi pióra zapłacą grzmotem oklasków, a jedyną karą to lekkie uderzenie wachlarza z rąk pięknej kobiety, gdy ten „Nieznośny“ zbyt śmiały dwuznacznik rzuci jej pod nogi.

Ale „na wyłomie!“ to tak strasznie brzmi jak echo walki śmiertelnej, gdzie niema pardonu. Cóż robić? Paris vaut la messe! W rój szerszeni rękę moją kładę.

W jednym z najświeższych numerów „Kuryera Pozn.“ ukazał się artykuł, poświęcony zjazdowi Kółek śpiewackich w Gnieźnie, a dawno już prądy nurtujące Księstwo nie ujawniły się z równą siłą i równą otwartością. Oto próbka „Kuryerowych“ dążeń:

„Podniosły, poważny i niewymownie serdeczny nastrój całej uroczystości przypisać należy bezwarunkowo temu, że odbyła się ona pod auspicyami zacnego duchowieństwa naszego, że więc nie brakło jej kardynalnego warunku powodzenia — błogosławieństwa Niebios.

Dobitny znowu mieliśmy dowód, że tam, gdzie Kościół św. błogi swój wpływ wywierać może, tam też niezakłócona panuje harmonia, bo serca tam i umysły pogodne, niezakłócone poruszeniami namiętnostek ludzkich; a gdy tak w oczach serdecznych śpiewaków pogodna jaśniała dusza, to i niebo przecudną przez cały ciąg uroczystości śmiało się pogodą“.

„... Pokazało się w niedzielę wyraźnie, kto najtroskliwiej pielęgnuje pieśń rodzimą i ku jakim celom ona służy: z radością widzieliśmy, iż nikt inny, jeno czcigodne duchowieństwo jest filarem naszych Kółek śpiewackich, z radością nie mniejszą stwierdzić możemy, iż rozwój swój świetny zawdzięczają Kółka nasze przeważnie tej okoliczności, że pielęgnują głównie pieśni zbożne, że członkowie ich niosą dar głosu, którym ich stwórca obdarzył, znowuż na chwałę Panu nad Pany“.

Cytując słowa powyższe, poczuwam się do obowiązku zaznaczyć tu przedewszystkiem, że nie należę bynajmniej do owych liberalnych alarmistów, którzy na widok sukienki duchownej uderzają natychmiast w okrzyk piorunowy: „Precz do kościoła, precz z życia publicznego!“ Przeciwnie, — prawdziwemu wolnodumcowi obcą jest nietolerancya, — uzna on obywatela w każdym człowieku i w każdym uczciwym pracowniku powita brata, bez względu na to, czy go zdobi siermięga, surdut czy rewerenda. W artykule „Kuryera“ jednak inna jest tendencya. Tu rzucono zuchwałe twierdzenie, że

1) tylko takie prace publiczne liczyć mogą na „błogosławieństwo niebios“, których kierownictwo spoczywa w rękach duchowieństwa;

2) że kongres gnieźnieński zawdzięcza „bezwarunkowo“ powodzenie swoje „auspicyom“ kapłanów;

3) że duchowieństwo nasze jest „filarem Kółek śpiewackich“.

Pierwsza prawda, którą „Kuryer“ do wierzenia podaje, to charakterystyczne zdemaskowanie ukrytych tendencyi, snujących sieci swoje po kraju. Tu już nie słychać żądania, aby kapłan jako równy z równym stanął w szeregu na szańcach, lecz dźwięczy komenda, aby naród z pokorą uznał dyktaturę kleru, aby ster życia publicznego powierzył duchowieństwu, bo w przeciwnym razie niebo poskąpi mu błogosławieństw swoich. Jest zatem groźba! Maluczko, a posypią się straszne legendy o Dantejskiem piekle i gdyby tak niebo chciało pożyczyć gromów swoich, trądów i smoków ognistych „Kuryerowym“ panom, nie wątpię ani chwili, że wypuściliby wszystkie furye gniewu Bożego na stronnictwo „Przeglądu“. Ale snać innym jest rozum nieba niż rozum „Kuryera“, gdy zamiast piorunów zsyła uśmiechy błękitów i słońca tam nawet, gdzie na czele życia publicznego

stoją ludzie bez rewerendy, tam, gdzie bez „auspicyi duchowieństwa“ pieśń polska skarży się, płacze lub tryumfuje. Bo wybaczą mi koledzy z św. Marcina, ale w imię dewizy naszej „Bez obłudy“, zaprotestować muszę przeciw twierdzeniu, że zjazd gnieźnieński odbył się „pod auspicyami duchowieństwa“, że „Kościół św. błogi swój wpływ“ na zjazd gnieźnieński wywierał, że „kapłani są filarami naszych Kółek śpiewackich“. Rozdzielmy cześć sprawiedliwie i powiedzmy otwarcie: Kongres gnieźnieński odznaczał się charakterem świeckim, związek Kółek śpiewackich nosi charakter na wskroś świecki, do wydziału należą wyłącznie osoby świeckie, zjazd urządzili obywatele świeccy, w naradach brali czynny udział tylko obywatele świeccy, ćwiczenia odbywały się pod batutą osób świeckich, prezesami są z minimalnemi wyjątkami obywatele świeccy, w jury z jednym wyjątkiem zasiadały osoby świeckie. A mimo to niebo nie poskąpiło promieni swoich i pieśń polska odniosła tryumf wspaniały. Zasługa to w pierwszym rzędzie pracowitego wydziału z mecenasem Czypickim na czele, w drugim rzędzie dzielnych kierowników naszych Kółek śpiewackich, w trzecim rzędzie gościnnego obywatelstwa z gniazda białych orłów. Udział duchowieństwa w pracach kongresowych ograniczył się na odprawieniu mszy św., poświęceniu sztandaru i łaskawych informacyach udzielanych gościom przy wizytacyi tumskich osobliwości. Cześć i za to kapłanom! Ale bądźmy sprawiedliwi i wieńcem wawrzynu temu skronie oplećmy, kto na niego zasłużył. Nie mieńmy tych „filarami“, którzy niemi nie są, nie śpiewajmy o „auspicyach“, których nie było, o „błogim wpływie“, który nie istniał. Kardynalnym warunkiem powodzenia w każdem działaniu publicznem jest praca uczciwa i duchem narodowym owiana, ale kłamie ten, kto mówi, że błogosławieństwa swego niebo tam poskąpi, gdzie niema duchownej hegemonii. My cenić umiemy tych pracowników kościoła, którzy stają między nami jako pionierzy myśli narodowej, ale dyktatury kleru uznać nie możemy, bo równe są wszystkie stany, równe ich prawa, nie ma przywilejów. Któż to zresztą powiedział, że dla interesów Kościoła i ojczyzny nigdy nie zjawi się chwila dążeń rozbieżnych? Któż może zaręczyć, że dwie siostry, niedawno jesze połączone uściskiem miłości, nie staną jutro do walki? Któż wreszcie powie, że sługa Kościoła w krytycznej chwili palącego „aut-aut“ zmieni się w sługę ojczyzny?

Więc pójdźcie do nas, służebnicy Chrystusa, my was otwartemi witamy rękami, — ale nie żądajcie, by ster spraw narodowych w waszych spoczywał rękach, nie rzucajcie kamieniem potępienia tam, gdzie duchowne wpływy nie zdobyły sobie dowództwa, nie wołajcie, że łaska Boga samego tam tylko spływa, gdzie wy jesteście.

Raz nareszcie trzeba śmiało wypowiedzieć ten protest, który drzemie w szerokich warstwach społeczeństwa, tamowany jedynie terrorzmem pewnych koteryi i brakiem cywilnej odwagi, gnębionej systematycznie od lat kilkunastu. Zjazd Kółek śpiewackich jest najodpowiedniejszą chwilą ku temu, bo właśnie przeciw związkowi tych Kółek objawia się jakaś ukryta niechęć ze strony duchowieństwa, przerażonego „świeckością“ wydziału. Jest to coś nieuchwytnego, coś pracującego cichutko za kulisami, ale mimo to oddziałującego niekorzystnie na rozwój centralizacyi. Artykuł „Kuryera“ to kłos z tej gleby wyrosły, to sonda zapuszczone w głębiny opinii publicznej, to przedewszystkiem elaborat suggestywny torujący drogę hegemonii kleru. A że hegemonię taką krok tylko od dyktatury dzieli, o tem świadczy jedno z towarzystw poznańskich, gdzie za wpływem duchownego kierownika ukuto w statutach paragraf, że nieważną jest każda uchwała, chociażby nawet zatwierdzona jednogłośnie, jeżeli ksiądz-patron „placet“ swojego odmówi.

Parlamentaryzm zdeptany, — Roma locuta, causa finita. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

Nakładem *„Gońca Wielkopolskiego“* ukazało się drugie wydanie obszernej broszury ś. p. Dr. Ludwika Rzepeckiego p. t. „Żywot Mieczysława hr. Halka Ledóchowskiego“. Książka ta nacechowana gorącym patryotyzmem, znamionującym całą działalność obywatelską i publicystyczną przedwcześnie zgasłego autora, a pisana stylem jędrnym i treściwym, jest dotychczas jedynem wydawnictwem jubileuszowem.

* * *

„Monitor“ nr. 14 (lwowski tygodnik polityczno-społeczno-literacki) zawiera: Z nowym kwartałem. — Lewica niemiecka. — Reformy austryacko-galicyjskie. — Strejk ceglarzy lwowskich. — Z kraju. — Nowy prąd w literaturze. — Kobiece wszechnice w Stanach Zjednoczonych. — Feljeton: 1) Z szarych końców, przez Lucyana ze Swirza. 2) Epionoskop.

* * *

Piotr Chmielowski o „Tygodniku wielkopolskim“. W „Zarysie najnowszej literatury polskiej“ znajdujemy wspomnienie, poświęcone jednemu z czasopism poznańskich, które przez lat kilka krzewiło w Księstwie myśl postępową. Podajemy je w skróceniu:

„W r. 1870 powstała w Poznaniu myśl założenia organu wolnomyślnego. Urzeczywistnił ją Edmund Callier, jeograf i starożytnik († 1893), ogłaszając w połowie grudnia 1870 r. próbny numer *„Tygodnika Wielkopolskiego“*. Pragnął on utworzyć jak najszersze grono współpracowników i skupić około tego czasopisma wszystkie bardziej utalentowane umysły polskie. Udało to mu się w znacznej części.... Najczynniejszym spółpracownikiem był koroniarz *Wład. Olendzki*, świeży wtedy wychowaniec uniwersytetów niemieckich, autor dzieła p. n. „Teorye polityczne XVI w.“ († 1894). On przez dwa lata główne nawet miał w swym ręku kierownictwo „Tygodnika Wielkopolskiego“, a jako zapalony wtedy wielbiciel postępu szczepił na gruncie poznańskim płonkę warszawskiego „Przeglądu tygodniowego“, przerabiając, podając w skróceniu lub wprost przedrukowując artykuły z tego czasopisma. Wszystkie kwestye traktowane wtedy przez młodzież w Warszawie, a więc emancypacya kobiet, teorya Darwina, pozytywizm odbijały się i na kartach tygodnika. Tak przetrwał ten organ postępowców do roku 1874. Wtedy objął redakcyę Władysław Chotomski i nieumiejętnem prowadzeniem dobił pismo, które zresztą i dawniej wcale nie pokrywało kosztów wydania, gdyż miało zaledwie 400 płatnych prenumeratorów“.

* * *

Nakładem *Wydawnictwa materyałów do powstania 1863—64* wyszła we Lwowie książka zatytułowana *„Stronnictwo krakowskie o styczniowem powstaniu“*. Praca ta, która w literaturze politycznej zajmie niepoślednie miejsce, jest rezultatem długich narad prowadzonych przez 5 wieczorów w *lwowskiem kole literackiem*. Zasługuje w niej przedewszystkiem na baczną uwagę wszystkich, dla których sprawy publiczne nie są obojętne, dosadna i wszechstronna krytyka programu przyszłych prac Stańczyków. P. Romanowicz z właściwym mu talentem wykazuje wszelkie ujemne strony tego programu i zabójczy pomysł jaki p. Koźmian z Alfredem Szczepańskim narodowi chcą narzucić — rozdziału patryotyzmu na trzy gatunki.

KRONIKA POWSZECHNA.

*** Wiadomości społeczne i polityczne** W ubiegłą niedzielę odbył się we Wiedniu wielki meeting robotników polskich. Zebrani uchwalili rezolucyę, według której demokratyczni posłowie polscy odłączyć się mają od „Koła“ i występować samodzielnie. — Powstanie w Macedonii rozwija się bardzo powoli. Mimo to Turcy wzmacniają bezustannie swoje siły zbrojne. — Pułkownikowi policyi Krausemu, urzędującemu w Berlinie, przesłano paczkę z maszyną piekielną. Paczka zwróciła uwagę urzędników pocztowych, którzy z zachowaniem wszelkich ostrożności otwarli ją i tym sposobem zapobiegli nieszczęściu. Sprawca zamachu nieznany. Cesarz przesłał Krausemu telegram kondolencyjny. — Francuzi odnoszą bezustanne zwycięstwa na Madagaskarze. Jenerał Metzinger zdobył 30 czerwca wielki obóz Howasów z 470 namiotami.

*** Teatr i muzyka.** „Kuryer Lwowski“ donosi, że Modrzejewska odniosła tryumf wspaniały w roli lady Macbeth na scenie Skarbkowskiej. Artystkę wywołano kilkanaście razy i obrzucono kwiatami. Modrzejewska zabawi jeszcze we Lwowie przez dni kilka i wystąpi w „Deborze“ Mosenthala oraz „Rozwiedźmy się“. — **W niedzielę** 7-go b. m. odbędą się w Urbanowie pod Poznaniem wielkie „Igrzyska Sokołów“, połączone z koncertem, śpiewami chórowemi i loteryą fantową. — Opera w Krakowie cieszy się znacznem powodzeniem. Najwięcej laurów zbierają pani Konarska, pp. Myszuga i Jeromin i panna Strassern. Najświeższa operetka Straussa p. t. „Jabuka“ święci w Warszawie tryumfy kasowe, wytwarzając konkurencyę — pismom humorystycznym. Dzieje się to wszystko za sprawą rozlicznych „wstawek“ kupletowych, które na każdem przedstawieniu odśpiewują tam z nowemi dodatkami, poświęconemi sprawom bieżącym. Słuchacz, prócz właściwej operetki, znajduje na „Jabuce“ śpiewany feljeton, w którym są napomknienia o wyścigu dystansowym, i o panu Salerno di Colonna, i o wystawie metalowej, i o wszystkiem, co w danej chwili zajmuje Warszawianina. Jest to bardzo zabawne i publiczce się podoba — zaciera jednak stopniowo różnicę, jaka zachodzi pomiędzy teatrem a — teatrzykiem.

BIBLIOGRAFIA.

Wincenty hr Łoś. Aktorka. Powieść. Warszawa, 1895.

Wincenty hr. Łoś. Przy naszych dworach. Nowela. Warszawa, 1895.

Odpowiedzi Redakcyi.

Amicus. Ta firma sprzedaje „vinum de vite purum“ I dziw się tu, szanowny panie, że plecie jak Piekarski na mękach, dmąc w dudy wiadome!

Felicya. 1) Przyjęła się w prasie forma „mócz“, — poprawnie jednak należałoby pisać „móc“. Pochodzi to od starosłowiańskiego „mogti“, „g“ przed „t“ zmienić się musiało na k, a więc „mokti“, z „mokti“ zaś powstać tylko mogło „móc“, podobnie jak z „nokti“ powstało „noc“. — 2) Należy pisać „być“, nie „bydź“, bo nie pochodzi forma ta od „będę“, lecz od „byti“.

Humorystyka.

Rzecz dzieje się w redakcyi pisma „stojącego na ogłoszeniach“.

Skrzypek, występujący z koncertem dobroczynnym, przynosi bilety gratisowe i prosi o łaskawą wzmiankę. Prośba zostaje wysłuchaną życzliwie i z protekcyjną powagą.

Na odchodnem skrzypek dorzuca: „będę jeszcze prosił o zaznaczenie piękności mego instrumentu, wyszedł on bowiem z rąk Stradivariusa...“

— Co do tego. odpowiada z uśmiechem redaktor — zechce pan Stradivarius porozumieć się z administracyą, nie pomieszczamy bowiem żadnych reklam bezpłatnie.

* * *

Bodaj to praktyczność niemiecka!

Od dawien dawna we wszystkich podręcznikach „dobrego tonu“ zwracano uwagę płci brzydkiej, iż trzymanie rąk w kieszeniach... nie od kamizelki, nie jest bynajmniej szczytem elegancyi i da się porównać jedynie z amerykańskim zwyczajem kładzenia nóg na stole.

Ale cóż tu robić, kiedy znaczna część władzców świata nie studyuje podręczników „dobrego tonu“. Co po przepisach niewykonywanych, co po ideałach niezisczanych.

Praktyczni Niemcy wymyślili więc środek niezawodny, bo zamiast spuszczać się na propagandę mamciotek i podręczników, założyli świeżo Towarzystwo pod nietylko krótką ale skromną nazwą: „Antihändeindenhosentaschenhaltenverein“.

Może u nas pragnąłby kto podobne Towarzystwo założyć? Za skutek nie ręczymy, ale bądź co bądź mielibyśmy więcej jednego prezesa, jednego wice-prezesa i jednego sekretarza, a ponieważ założenie filii byłoby rzeczą wskazaną, a nawet nieuchronną, przeto liczba dostojników kraju mogłaby się olbrzymio powiększyć.

Składki

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

Za pośrednictwem pani I. z Moszczeńskich Rzepeckiej 3,50.

„Towarzystwo Przemysłowe“ w Poznaniu 20 m.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 746 marek. Ogłoszenie konkursu nastąpi natychmiast, skoro tylko zbierze się suma 1000 marek.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli:

P. Kollat z Miejskiej Górki sumę zebraną na zaślubinach p. Bronisławy Skwierzyńskiej w ilości 9,30 m.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 521,20 m.

Sumę powyższą złożyliśmy w Banku przemysłowców polskich, jako centralnem miejscu składek.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.